



ROK LVIII

NR 45

PIŚMIENIOWY GODNIOWE I LUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 7 LISTOPADA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Pytanie—*H. C.* W sprawie przysposobienia wojskowego kobiet—*Aleksandra Zegórska*. Kartka z dziejów katolicyzmu w Rosji w pierwszej połowie XIX wieku (c. d.)—*R. M. Blüth*. Świat kobiecy (c. d.)—*Morja Grossek-Korycka*. W kraju pracy—*Helena Boguszewska*. Wiersze: Cudzołożnica—*Adolf Czerny* (tłum. z czeskiego *Julja Dicksteinówna*). Legenda o „Księżycowych kamieniach”—*Janina Maszewska-Knappe*. Zdrada (nowela)—*Włodysław Rymkiewicz*. Czy nie paradoksalne?—*C. W.* Nic ważnego—*Marja Kuncewiczowa*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Kartki z życia—*al.* Pierwszy kobiecy raid samochodowy we Francji—*I. F.* Z teatrów—*Z. P.* Z ruchu wydawniczego. Dział praktyczny: Mody i roboty. Przybory podróżne. Dla podlotków—*W. L.* Polska twórczość kobieca na wystawie w Paryżu. Naukowa organizacja pracy—*Pani Elżbieta*. Bolaćki—*N...ska* Przedzimek owocowiec—*Stan. Schönfeld*. Zająć—*I. S.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre Rady. Korespondencje działu praktycznego. Dodatek powieściowy „Naja Tripudians” (c. d.)—*Annie Vivanti* (przeł. z włoskiego *Tadeusz Jakubowicz*). ARKUSZ WZORÓW.

P Y T A N I E

Zdarzyły się w ostatnich czasach rzeczy wysoce nieprzyjemne, gorzej, niesłychanie szkodliwe dla Państwa. Ujawniono jaskrawe nadużycia na placówkach polskich zagranicą, milionowe kradzieże i to zarówno w Europie, jak w Ameryce. Nie jest to rzecz nowa. Od początku istnienia młodego Państwa kompromitowali nas wobec świata i wychodźstwa polskiego różni przygodnie połapani „przedstawiciele,” awanturnicy wszelakiego typu i rodzaju, międzynarodowi rycerze przemysłu, hochstaplerzy wysokiej marki.

Następstwem tego lekkomyślnego obsadzania placówek zagranicznych, były straty podwójne, bo i prestiżu i pieniędzy, tych pieniędzy, które szruba podatkowa nieraz doprawdy z pod serca samego nam wyciska.

Nietylko jednak te skandaliczne momenty stanowią zły skutek złego doboru ludzi; ale i nieczynność i nieumiejętność tych niefortunnych przedstawicieli Polski zagranicą, ich niedbalstwo i brak poczucia obowiązku. Nie będzie bowiem złodziej, defraudant pełnić zadań, które mu Polska na dalekim zagranicznym posterunku zleciła. Cóż one go obchodzą?!

Nie dziw więc, że po siedmiu latach funkcjonowania kosztownych placówek polskich, panują

zagranicą najdziksze wyobrażenia o Polsce, a przemysł nasz i handel z taką trudnością zdobywa sobie nowe rynki zbytu.

Ale wobec tego wszystkiego, właściwie mamy prawo i obowiązek zapytać dlaczego z tej dziedziny służby państwowej usuwa się tak starannie kobiety?!

Pamiętne są rugie, któremi przed paru laty „oczyszczono” Ministerstwo spraw zagranicznych z sił kobiecych. Dziś pozostał ich tam procent bardzo niewielki i to przeważnie tylko na stanowiskach najniższych.

Co do placówek zagranicznych, najlepiej opłacanych, żadna kobieta dostać się tam nie może, chyba w charakterze maszynistki.

Dziwne zaiste jest to „równouprawnienie” nasze.

Równouprawnione w ponoszeniu ciężarów państwowych, w opłacaniu różnych podatków: majątkowych, dochodowych, mieszkaniowych i t. d. i t. d., usuwane jesteśmy systematycznie, za milczącym porozumieniem obecnych kierowników życia i rozwoju Polski, od wszystkich najważniejszych służb, a nawet, jak w czasach ostatnich, od źródeł wiedzy i nauki.

Czy niema w kraju kobiet, któreby rozumnie i z godnością reprezentować mogły Polskę zagranicą? Jest z pewnością niejedna i wykwalifikowana, i rozumiejąca wagę odpowiedzialności, cięższej na ludziach, reprezentujących nowe, tak jeszcze lekceważone i tak ze wszech stron spotwarzane Państwo. Jest ich legion nieskazitelnie uczciwych, grosz państwowy mających sobie za nietykalną świętość. Czyż to nawet do pomyslenia, by urzędniczka polska o wyższym wykształceniu popełnić mogła nadużycie pieniężne?! Czy zdarzył się taki wypadek? Nie wiemy o nim. Nie słyszeliśmy dotychczas.

Przeciwnicy zdania naszego twierdzić zapewne zechcą, że zagranica, nieprzyzwyczajona do widoku kobiet na stanowiskach dyplomatycznych, byłaby tem do nas zrażona.

Argument nierealny!

Zarówno Ameryka, jak i niektóre kraje europejskie, zaczynają już swoje placówki zagraniczne obsadzać kobietami, nie mówiąc o krajach skandynawskich, gdzie nawet na stanowisku ambasadorskim nie zdewuawowano kobiety.

W r. 1921 wyszła w Warszawie tłumaczona z francuskiego broszura p. t. „Dlaczego nie napisałem książki o Polsce.“ Autorem jej był znany publicysta, korespondent warszawski paryskiego „Temps,” p. de Sizeranne

W broszurce swojej powiedział on sporo gorzkich prawd polakom; końcowe kartki jednak poświęcił kobiecie polskiej, nie jej urodzie i wdziękowi, jak zwykli czynić cudzoziemcy, ale jej duchowym i państwowotwórczym wartościom.

„Macie dwie rzeczy bezcenne — tak zaczyna p. de Sizeranne — dzieci i kobiety.“ Uderza go w kobiecie polskiej istotna wyższość moralna, wyższość charakteru nad mężczyzną — polakiem współczesnym. Uderza go jej inteligencja bystra, giętka, ogarniająca szerokie horyzonty, zastanawia jej patriotyzm gorący i niezłomny, jej przejęcie się głębokie sprawami swego kraju. I radzi p. de Sizeranne polakom, by jeśli chcą zapewnić świetną przyszłość swej Ojczyźnie, aby całość wychowania młodych pokoleń złożyli w ręce kobiet, jak również pieczę nad rozwojem kultury, nauki, sztuki. Kobieta polska byłaby znakomitym ministrem oświaty — pisze i dodaje nawet: „gdybyście mnie zapytali, wskazałbym wam najodpowiedniejszą kandydatkę.“

Są w broszurce p. de Sizeranne miejsca, które specjalnie wiążą się z omawianym przez nas tema-

tem. Cudzoziemiec ten, który doskonale zna Polskę przed i powojenną, twierdzi, że kobieta polska szczególnie nadaje się do służby dyplomatycznej. Jej wyrobienie towarzyskie, jej takt, wdzięk obejścia, jej intuicja, pozwalająca jej czytać w myślach i wrażeniach ludzi, z którymi ma do czynienia, wszystko to sprawia, że jest ona doskonałym materiałem na dyplomatkę w wielkim stylu, oczywiście, dodajemy od siebie, na dyplomatkę nowych czasów.

Dawniej akcja dyplomatyczna polegała na osnuciu kontrahenta subtelną siecią zdrad, podstępów, na wypatrywaniu słabych jego stron i właściwej chwili do odniesienia nad nim dyplomatycznego, czy nawet orężnego zwycięstwa. Ale dziś, zwarłszy się w straszliwym długoletnim boju, ludzkość inaczej rozumieć zaczyna zadania dyplomacji. Istotne zbliżenie narodów, unikanie wojennych rozstrzygnięć, pokojowe współzycie i współdziałanie, to już nie frazesy, pokrywające wilcze doły wrogich zamierzeń. Ludzkość naprawdę boi się nowej rzezi powszechnej.

Niewątpliwie, dyplomatka polska nie umiałaby budować drugiemu narodowi zdradnych zasadzek, nie umiałaby i nie chciałaby usidlić go pozorami życzliwości w celu zgotowania mu niesławnego zgónu. W nowożytnym, powojennym już pojęciu służby dyplomatycznej mogłaby polka niewątpliwie oddać zarówno swemu krajowi, jak i całej ludzkości duże usługi.

Ciekawe jest, że właśnie cudzoziemiec, przyzwyczajony do zgoła odmiennego typu psychicznego francuzki, dojrzał w polkach te właściwości i talenty, które go do tak interesujących doprowadziły wniosków. Przypuszczamy, że nie razilby tak bardzo Europy liczniejszy, niż dotychczas, udział kobiet w polskiej służbie zagranicznej.

I jeszcze raz stawiamy pytanie: dlaczego przed równouprawnionymi obywatelkami Państwa Polskiego zamyka się bezapelacyjnie drogę służby dyplomatycznej, gdy jednocześnie droga ta stoi otworem dla wszelkiego rodzaju awanturników, defraudantów i złodziei, hańbiących imię Polski w krajach sąsiedzkich.

Wiemy, że pytanie to narazie będzie „głosem wołającego na puszczy.“ Ale mimo to poruszać tej sprawy nie przestaniemy, jako, zdaniem naszym, związanej nierozłącznie z interesem i honorem naszego Państwa.

H. C.



W SPRAWIE PRZYSPOSOBIENIA WOJSKOWEGO KOBIET

Na początku lata b. r. redakcja „Bluszczu“ zainicjowała dyskusję na temat przysposobienia kobiet do pomocniczej służby wojskowej. Niestety z dużym opóźnieniem umieszczamy dotyczący tej sprawy, ciekawy artykuł byłej Komendantki Ochotniczej Legji p. A. Zagórskiej. (Przyp. Red.)

Po zlikwidowaniu Ochotniczej Legji Kobiet władze wojskowe nie zaniechały myśli przygotowania zastępów kobiecych do pracy w armji na wypadek wojny.

Powstał Kom. przysp. rez. kob., który od lat paru usiłuje rozwinąć swoją działalność na terenie całego Państwa. Akcja powyższego komitetu wydała dotychczas tylko znikome rezultaty, nie stojące w żadnym stosunku ani do potrzeb armji, ani do poniesionych trudów.

Dla wszystkich interesujących się tą sprawą uderzającym stał się fakt, że były legionistki wstrzymały się od udziału w pracy K. P. R. za wyjątkiem kilku mało związanych z ideą O. L. K. osób.

A jednakże praca w danym kierunku musiała im być bliską, przecież był to poniekąd dalszy ciąg Legji stworzonej na podstawie jej przeszłości, w uznaniu wartości i zasług.

To oporne stanowisko legionistek w związku z nikłymi wynikami akcji stało się zapewne powodem, że artykuły umieszczane w prasie przez osoby biorące udział w pracy K. P. R. zaczynają wykazywać pewne zniecierpliwienie, wyrażające się w niejasnych, lecz jadowitych wzmiankach o sprawach i rzeczach o wiele przerastających kompetencję i doświadczenie młodocianych zapewne autorek. Nie mam najmniejszego zamiaru polemizować z podrażnionymi propagatorkami idei zresztą zupełnie mi sympatycznej i bliskiej, pragnę tylko wyjaśnić w swoim, a myślę, że także w większości legionistek imieniu nasze stanowisko w tej sprawie.

Celem należytego wyjaśnienia istoty rzeczy, muszę sięgnąć do odległej już nieco przeszłości do pierwszych dni obrony Lwowa. Tworzyłam oddziały kobiece nie w myśl jakichś z góry powziętych teorii i planów, ale prosto usiłowalam jaknajbardziej przystosować je do zadań i potrzeb chwili, do jaknajwydatniejszej pomocy tak słabej wówczas armji polskiej. Od-

razu było jasnym, że chcąc uzyskać odpowiadającą celowi konieczną wartość, trzeba było już tym pierwszym oddziałom nadać charakter napół wojskowy. Istniały one przez pierwszych kilka tygodni, jako Milicja Obywatelska Kobiet, stanowiąc część składową Miejskiej Straży Obywatelskiej. Zatrudnienia M. O. K. były ściśle takie jakich wymagała potrzeba chwili, a więc: pilnowania porządku w aprowizacyjnych sklepach miejskich przy rozdzielaniu żywności wygłodzonej ludności Lwowa, służba wartownicza, kurjerska, współdziałanie z komisją poborową i nawet wyjątkowo udział w walkach na froncie tam, gdzie zabrakło żołnierzy mężczyzn.

Ten napół cywilny charakter organizacji nie dał się długo utrzymać. — Władze wojskowe zażądały przekształcenia M. O. K. na formację ściśle wojskową, czemu nie mogłam się opierać, bo na każdym kroku stwierdzałam doświadczeniem konieczność tego żądania.

Powstała Ochotnicza Legja Kobiet. Z całym naciskiem jeszcze raz zaznaczam, że jedynie pragnienie jaknajwydatniejszej, najbardziej celowej pomocy armji, wskazania potrzeb jej życia codziennego czasu wojny wywołały i ustaliły ściśle wojskowy charakter, jaki O. L. K. już do końca swego istnienia zachowała. Stanowczo twierdzę, że właśnie te zwarte ramy organizacyjne uczyniły O. L. K. instytucją, w której procenty wysiłku nie marnowały się bynajmniej, instytucją w wysokim stopniu użyteczną, jak stwierdzają wszystkie bez wyjątku tak liczne zaświadczenia ze strony władz wojskowych, przedewszystkiem zaś fakty doniosłe, których nie obniżą wobec historii i lepszych może pokoleń polskiej przyszłości żadne czeze paplaniny powojennych papużek obojga płci.

Nie bez znaczenia jest fakt, że już w początku istnienia O. L. K. były w łonie samej organizacji pewne dążenia antymilitarne, które wyraziły się wydzieleniem trzydziestu kobiet z O. L. K. Ta grupka utrzymała się jeszcze czas jakiś jako M. O. K. Nie stanowiąc zwartej organizacji i zachowując charakter cywilny użyteczną była tylko

w niewielkim stopniu, — spotkał ją wkrótce los właściwy wszelkiej połowiczności i małoduszności i rozplynęła się niepostrzeżenie i bez śladu. Dla wszystkich bowiem, kto zna ducha armji, jest jasnym, że na tym terenie może działać z pożytkiem tylko formacja oparta na zasadach wojskowych i karności, porządku i pełnej odpowiedzialności.

Wprowadzanie do armji w charakterze pracowników osób cywilnych czy napół cywilnych jest szereganiem destrukcji, bo siłę armji stanowi jej zwartość i jednolitość!

Ochotn. L. K. rozwinęła się i rozrosła, obejmując wciąż nowe posterunki pracy. Po ukończeniu wojny ukraińskiej na przedłożony przezemnie projekt likwidacji odpowiedziano ze strony władz wojskowych odmownie i wezwano mnie do rozszerzenia działalności O. L. K. na wszystkie dzielnice Polski, a to ze względu na wojnę z bolszewikami. W M. S. Wojsk. oddz. I Sztabu powstaje Wydział O. L. K., a w Warszawie, Lwowie, Wilnie, Poznaniu, Krakowie, Grudziądzu, Przemyślu, Łukowie pracują oddziały O. L. K.

Liczba legionistek wzrasta w tym czasie do dwu i pół tysiąca z górą.

Na żądanie władz tworzą się nawet baony linjowe użyte do obrony Wilna i Warszawy. Kilka mniejszych oddziałów O. L. K. pracuje stale na froncie w służbie wartowniczej i pomocniczej.

Z chwilą ukończenia wojny M. S. Wojsk. poleciło mi zastanowić się nad tem w jakiej formie O. L. K. powinna istnieć nadal, bo jak zaznaczono z naciskiem życzeniem jest władz, aby istniała.

Po porozumieniu z członkiniami Wydziału O. L. K. kap. Ludwiką Wysłouch — Zawadzką i por. Cey-singer Heleną, które przez najtrudniejszy rok wojny z całym oddaniem sprawie współpracowały ze mną, przedłożyłam projekt utworzenia szkoły wojskowej służby pomocniczej, t. zn. szkoły, w której ochotniczkami, ujętymi w zwarte wojskowe ramy organizacyjne, otrzymywałyby wykształcenie ogólnie wojskowe i zawodowe w jednym z działów służby pomocniczej i obowiązywałyby się pełnić służbę w danym dziale w miarę potrzeby w razie pokoju i obowiązkowo na wypadek wojny.

W powyższym projekcie szkoły O. L. K. opierałam się na doświadczeniu lat wojny, znajomości psychiki kobiety polskiej w stosunku do



zadań wojskowych i wogóle na tem co życie samo logicznie nasuwało. M. S. Wojsk. przyjęło i zatwierdziło projekt w całości.

Wezwałam legionistki wszystkich baonów Legji w imię potrzeby narodowej do wstępowania na kursy szkoły O. L. K. Odrazu zapisało się paręset ochotniczek.

Już po ukończeniu pierwszych kursów szkoły nastąpiły krótkie, lecz pamiętne rządy p. Michalskiego, które między innymi zaznaczyły się skreśleniem z budżetu szkoły O. L. K. Minister S. Wojsk. protestował i w dłuższym referacie uzasadnił konieczność dalszego istnienia szkoły O. L. K., kładąc nacisk na użyteczność i zasługi Legji.

P. Michalski krótko i kategorycznie przedstawił M. S. Wojsk. odrzucił: „na ten temat nie dysputuję. O. L. K. ze względów oszczędnościowych ma być rozwiązana“.

Och. Legja Kobiet po trzech z górą latach istnienia została zlikwidowana, pozostawiając po sobie ślad dla historii w postaci licznych nader chlubnych zaświadczeń i pochwał ze strony władz wojskowych. Odpis większości tych dokumentów znajduje się w broszurze „Szkic historyczny O. L. K.“, wydanej w chwili przekształcenia Legji na szkołę służby pomocniczej. Nabyć ją można we Lwowie w Ossolineum.

Wspominam o tem dlatego, że do tej pory pojęcia o Legji są ogromnie mgliste i często krzywdzące, nawet wśród tych, którzy za bierają głos w tej sprawie i od których w imię prostej ludzkiej uczciwości możnaby wymagać sumiennego poinformowania się u źródła i zaznajomienia z materiałem historycznym.

Pora już chyba dać jakąś rzeczywistą moralną satysfakcję tym, które w chwilach dla Państwa groźnych porwały się na czyn ofiarny i trudny, które zniosły długie lata ciężkiej pracy i wysiłków i stokroć cięższych udręczeń ze strony własnego społeczeństwa w formie jadowitych napaści, drwin, szykan i niekończącego się nigdy niezrozumienia.

W imię potrzeby narodowej zniosły to wszystko tak mężnie, że dzi-

wił niezwykle hart ich młodych dusz.

W imię potrzeby narodowej choć utrudzone i zapewne rozgoryczone przeszłością pogarnęły się tłumnie do szkoły O. L. K.

Jednakże pomimo potrzeby narodowej uchyliły się od udziału w akcji Kom. P. R. K.

Z pewnością nie przez brak patriotyzmu i konsekwencji tak się stało, ale przez nabyte doświadczeniem zrozumienie, że tego rodzaju akcja nie prowadzi do celu, że tu właśnie procenty wysiłku marnować się będą, że żadne społeczne organizacje w danym wypadku nie wystarczą i wogóle niewiele zaważą na szali.

Oczywiście zupełnie inaczej przedstawia się praca K. P. R. w stosunku do mężczyzn, którzy pełnią służbę wojskową przymusowo, więc praca Kom. nie może tu iść na marne. W stosunku do kobiet nie obowiązanych do służby wojskowej, pozatem z natury swej, czy wychowania anarchicznych i mało odpowiedzialnych, celową byłaby jedynie formacja zwarta w rodzaju szkoły O. L. K.

Nie mogę nie poruszyć tutaj ogromnie ważnego punktu ideologii O. L. K., który znów tylko w formacji zwartej może znaleźć wyraz. Doświadczenie wskazało nam niesłychaną wprost szkodliwość współpracy kobiet i mężczyzn w armji dla stron obu i przedewszystkiem dla pracy samej. Dlatego usilnem dążeniem O. L. K. było staranne izolowanie oddziałów kobiecych od męskich i samodzielne obejmowanie posterunków pracy. Praw natury przeoczyć i lekceważyć nie można, jedynym środkiem przeciwdziałającym szkodliwym konsekwencjom jest tego rodzaju jaknajcisniejsza izolacja i to przedewszystkiem pod względem pracy. Wszystko co możnaby przeciwko temu powiedzieć będzie tylko frazesem, który życie z miejsca przekreśla.

W O. L. K. pomimo czasu wojennego i wielkiej ilości zgłaszających się ochotniczek ze sfer najrozmaitszych, których kwalifikacji moralnych często nie można było

sprawdzić, — udało się utrzymać dość wysoki poziom etyczny. Tak jest powtarzam wysoki poziom etyczny wbrew wszystkim, co wymyślić mogła podła plotka i insynuacja. Otóż ten wysoki poziom etyczny zawdzięcza O. L. K. głównie zwartym ramom organizacyjnym, zakoszarowaniu i ciągłej kontroli, a przedewszystkiem dążności do samodzielnego obejmowania posterunków pracy, choć ze względu na czas wojny i dorywczy z konieczności charakter tworzenia oddziałów nie zawsze to ostatnie było możliwe.

Tego rodzaju ważne względy powstrzymały legionistki od wzięcia udziału w działalności K. P. R. K. i skłoniły do przybrania postawy niejako wyczekującej. Spodziewają się one, że ważna sprawa przysposobienia kobiet do obrony kraju przybierze wreszcie formy celowe, oparte na doświadczeniach lat wojny i koncepcja szkoły O. L. K. wznowioną zostanie choćby w nowej formie.

Ze swej strony uważam powstanie tego rodzaju instytucji za problem pilny i pierwszorzędnej wagi. Władze wojskowe powinnyby zdobyć się w tym kierunku na krok decydujący, przestając kokietować z małodusznością szerokich warstw społecznych. Wprawdzie działając tak nieśmiało i ostrożnie, jak obecnie, zmniejsza się może liczbę wrogów, ale i zwolennicy zdobyci w tych warunkach nie przedstawiają większej wartości. Bezwątpienia każda idea nowa i śmiała z miejsca zyskuje zawziętych wrogów i trzeba dużej odwagi cywilnej, aby walczyć z oporem większości, tembardziej, jeżeli ten opór ma miejsce w społeczeństwie plotkarskim, niekulturalnym i małoduszny. Aż nadto dobrze pamiętamy my legionistki tak gorzkie i bolesne dla nas strony tej walki, ale daje nam siłę miniona praca i zasługi, oraz poczucie słuszności naszych poczynań i dlatego dziś jeszcze przystąpić do pracy przysposobienia kobiet do obrony kraju wiele z nas z pewnością zechce, o ile ta praca przybierze formy celowe i wskazane.

Aleksandra Zagórska.
Komendantka O. L. K.



R. M. B L Ü T H

KARTKA Z DZIEJÓW KATOLICYZMU W ROSJI W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX W.

5

(KSIĘŻNA ZINAIDA WOŁKOŃSKA)

Chcąc uczcić pamięć zmarłego, napisała ode: „Na śmierć cesarza Aleksandra I.“ Niespełna w rok później pisała drugą: „Na śmierć cesarzowej Elżbiety.“

Potem przyszły ciężkie chwile likwidacji dekabryzmu, i wraz z nimi — mroczne bale dworskie, podczas koronacji Mikołaja. Musi brać w nich udział, jako eks-dama dworu. Spotyka się z teściową, co demonstracyjnie wyrzeka się syna i jego bohaterskiej żony.

Z salonu ubywa Kiuchelbecker, zesłany na Sybir.

Koronacyjne uroczystości skończyły się nareszcie. Moskwa odechnęła. Powróciła do normalnego życia, oplakując zabitych, zesłanych.

Słusznie o tym salonie powiedziano, „że wszystko, co było w Moskwie wybitnego, utalentowanego, grupowało się w salonie Wołkońskiej.“ Tam jaśniał Puszkina, który wrócił do świata z przymusowej samotni zesłania. Tam zetknął się z „przyjaciółmi Moskalanami“ Adam Mickiewicz.

Wnuk jej bratowej, Wołkońskiej-sybiraczki, Sergiusz Wołkoński, wybitny przedstawiciel dzisiejszej emigracji rosyjskiej, tak o bohaterce naszej pisze:

„Czarująca Zinaida Wołkońska. Pisano o niej wiele, a jednak nie dosyć. Jeszcze nie utrwalił się dla pokoleń cały czar tego charakteru, tak żywego, wielostronnego, tej płomiennej duszy.

Potrąfiła ona przyjąć, przyhołubić człowieka, postawić go w warunki moralne, fizyczne, społeczne, niezbędne dla jego rozwoju, dla pracy twórczej, natchnienia.

Tak przyjęła i przyhołubiła poetę Wenewitinowa; tak ożywiła podczas ciężkich chwil zrozpaczonego Gogoła; tak uratowała przed suchotami, przywożąc ze sobą do Rzymu, Szewyrewa.“¹⁾

Ale był między salonowymi gośćmi — pisze współczesny²⁾, młodzieńki, utalentowany wielce poeta, w rodzaju Andrzeja Chénier, którego w salonie pociągały nie tylko ożywione dyskusje świetnego towarzystwa. Zapalał on czystą, choć gorącą miłością dla Niej i jej poświęcał swe dźwięczne, melancholijne wiersze.“

Sprawą miłości moskiewskiego Werthera zajęliśmy się w szkicu o „filomatach.“ „Czysta, choć gorąca“ miłość dla młodego filozofa-poety miała skutek fatalny. Po wyjeździe do Petersburga, do którego namawiała go przyjaciółka starsza (ma ona wtedy lat 35, a poeta 21) — zapadł na jakąś dość tajemniczą gorączkę i wkrótce zmarł. Fama głosiła, że Wenewitinow zmarł z miłości. Realnie rzecz biorąc, Wenewitinowa, podciętego smutkiem osamotnienia — zwałił z nog tyfus, którego się nabawił w więzieniu (zatrzymano go w Petersburgu, jako podejrzanego o dopomaganie zsyłanym wówczas dekabrystom).

Salon przywdział żałobę.

Dla Wołkońskiej śmierć ta niespodziewana — była chyba jednym z najsilniejszych przeżyć. Najprawdopodobniej wyrzuty sumienia ją dręczyły. Przekonywała się, jak dalece urok salonowej damy działa niszczycielsko, o ile nie poddaje się go kontroli religijnej.

Zaczął się okres wewnętrznej pracy, szukania ostoji stałej, bezwzględnej.

Jeszcze jedno przeżycie, poprzedzające śmierć Wenewitinowa, dało poznać księżnej, że nad pięknem przelotnym ludzkiego czaru, istnieje Piękno wyższe — bohaterskich cnót niewieścich.

Wobec heroizmu swej krewnej, którą dopiero wtedy poznała — jej życie dotychczasowe, choć piękne po ludzku — musiało się wydać płytkie, puste, poziome.

Tuż przed wyjazdem Wenewitinowa do tegoż Petersburga dążyła żona ks. Sergiusza Wołkońskiego-dekabrysty (brata męża) Jechała, by ze stolicy podążyć dalej... na Sybir, za mężem, może nawet niekochanym.³⁾

¹⁾ Ks. Siergiej Wołkoński. „Dekabrysty.“ Paryż, 1921 r. str. 60.

²⁾ A. Murawiew: „Znakomstwo z ruskimi poetami.“ Kijów, 1871. — (cytujemy za Biełosierską).

³⁾ Porównaj Szczegolew: „Podwign Marji Wołkońskiej“ — zawierający pamiętnik ks. Marji (znany u nas w tłumaczeniu).

⁴⁾ „Szenrok: Materiały dla biografji Gogoła.“

Ks. Zinaida przyjęła bratową w swoim salonie. Chciała ją uczcić tem wszystkim, co najbardziej kochała — śpiewem, poezją, atmosferą Piękna. Księżna Marja siedziała w pokoju przyległym do salonu, w którym odbywały się artystyczne produkcje. Płakała cicho, ale prosiła, by śpiewano dalej, coraz więcej. Chciała zaczerpnąć tego ciepła kultury i sztuki na lata życia w mroźnej Syberji.

Pożegnała bratową także listem poetyckim, w którym choć romantycznie, ale szczerze pisała:

„Otocz się zewsząd harmonją, oddychaj nią, śpiewaj, śpiewaj zawsze, mimo cierpień i bólu. Czyż życie twoje nie jest bohaterskim hymnem.“

Dyskretnie zapobiegliwa, w sekrecie kazała z tyłu do sani przytroczyć mały fortepian. Księżna Marja dopiero na Syberji odnalazła ten nieoceniony prezent. Kto wie, może bohaterska żona dekabrysty podziałała w ten sposób na bratową, że ta nagle uczuła pustkę swego życia, pozornie tylko pełnego treści.

Śmierć cara i śmierć Wenewitinowa — były także silnymi bodźcami, skłaniającymi księżną do wielkiego rachunku sumienia.

Salon już w r. 1828 opustoszał. Część filomatów moskiewskich przeniosła się do Petersburga. Inni przeżywali smutek po śmierci uwielbianego w ich gronie Wenewitinowa. Puszkina przeniosł się do stolicy. Mickiewicz zaczął się starać o wyjazd zagranicę.

Faktem jest, że dla całego tego grona niespodzianką było to, że księżna Wołkońska przeszła na katolicyzm.

„W tym czasie — pisze biografka — uporczywe krążyć poczęły pogłoski, że ks. Zinaida Wołkońska uległa wpływowi jezuitów i tajemnie przyjęła katolicyzm.“ Inne źródła⁴⁾ podają szczegóły, świadczące o tem, że prozelitka nie chciała żyć pokryjomu. Domaga się jawnie paszportu zagranicznego, motywując to chęcią przeniesienia się na stałe do Rzymu. Gdy carowi mówi o swem nawróceniu, ten próbuje „nawrócić nawróconą.“ Przysyła popa. Księżna ponawia prośbę. Car nie chce dopuścić do skandalu. Zbyt znaną jest Wołkońska zagranicą. Zezwala na wyjazd jej i syna,

zezwała na zabranie ze sobą guwernera — Szewyrewa.

Zaintrygowany — kto ją (jak zwykli się wyrażać w jego otoczeniu) „izwrałił w katoliczestwo“ — nakazuje śledztwo tajne.

Konfidenci Benkendorfa donoszą, że chyba... Mickiewicz.

Faktem dla nich podejrzanym wydało się to, że księżna stara się w tym samym mniej więcej czasie o paszport zagraniczny dla wileńskiego zesłańca. Starali się o to samo i inni — Puszkina, Żukowskij, ks. Dymitr Golicyn...

Podejrzanym miał być upór, z jakim księżna porusza te wszystkie sprężyny, by swemu przyjacielowi pomóc, (prosi o to carowę — matkę uporczywie).

Wynikiem śledztwa tajnego, o mały włos nie była konfiskata już wydanego paszportu. Mickiewicz po-



wiadomiony, że go śledzą — ucieka coprędzej z Rosji.

Przy sposobności warto dodać, że była to druga tego typu protekcja. Pierwszy raz wstawiała się księżna Wołkońska za Mickiewiczem, jeszcze go nie znając, bo w 1825 roku. Słuszny był domysł Malinowskiego. Détachement do Odessy otrzymał dzięki jej protekcji.

Potwierdzenie znajdujemy w liście cara Aleksandra z kwietnia 1825 r. Zawiadania, że spełnił prośbę księżny, choć nie poszło mu to łatwo.

(c. d. n.)

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZĘŚĆ II.

23

NOTATKI PSYCHOLOGICZNE

Jest odczyt w Stowarzyszeniu X, mówi jedna z literatek starszego pokolenia. Same kobiety — ale za to same tuzy. Wywiązuje się interesująca dyskusja. Raptem oczy szanownej prelegentki dojrzały 3-ch jedynych mężczyzn: trzech uczniów z wyższych klas gimnazjalnych, którzy tu przyszli po swoje „mamy“: czasy były niebezpieczne. Przerywając dysputę, mówczyńni zapomina o swoich dygnitarzach, zwraca się korpusem, oczami i głosem do młodzieniaszków i apostrofuje: „O, jakże to dobrze, żeście panowie zaszczytili nasze zebranie! Bo to my tutaj łamiemy sobie głowy na próżno!... Wszak to są głowy niewieście?!.. pomóżcież nam zorjentować się w sytuacji!..

Skonfundowani chłopcy momentalnie gdzieś się podzieli... a jeden szepnął do drugiego „Rozrzewniająca, dalibóg, przyznanie się publiczne do umysłowego niedołęstwa!..

Gdybyż to był żart?!.. gdybyż to był wyjątkowy nietakt?! Nie — to było charakterystyczne, typowe padanie na twarz kobiety przed najskromniejszym przedstawicielem rodzaju męskiego.

— Cóż w tem dziwnego? — najnaturalniejsza w świecie chęć podobania się płci przeciwnej. Mężczyzna schlebia kobiecie, przesadnie chwali jej urodę — a kobieta przesadnie admiruje jego inteligencję.

— Ach, o ileż taktowniejszym, przyzwoitszym jest mężczyzna! Sprawy cielesne utrzymując na płaszczynie cielesności!..

Chcicie się podobać, moje panie?!.. nic łatwiejszego — sięgnijcie tylko do odwiecznego arsenału kobiecej broni: zróbcie cudowną toaletę — cudowną fryzurę!.. zróbcie oko!.. zróbcie dekol!.. zaśpiewajcie cygański romans najsmętniejszy i najbardziej pałacowy!..

Ale na miłość boską!.. dajcie spokój!.. nie mieszajcie w to filozofii, poezji, Boga, ojczyzny, etc. i t. d. Bo to jest takie niesmaczne!

Coś trzeba wreszcie traktować zupełnie na serio?!..

Ja rozumiem, gdy kochankowie przystępują do Stołu Pańskiego — razem, przyjąc Hostję wspólnego ideału — Ale dla flirtu wystarczy wspólna kolacja!

W pensjonacie mieszka taki pan, który pisze. O, nie żaden Kasprowicz, ani Żeromski! I mieszka taka pani, która pisze. Znów nie żadna Konopnicka, ani Orzeszkowa. Na drabinie literackiej zajmują szczyble jednakowej wysokości. Ale kobiety w pensjonacie nie prezentują go już inaczej, jak „Pan Iksiński, poeta“ — koło drzwi jego chodzą na palcach z psykaniem „szaa!.. ciiiich!“

Jest rano — pisząca pani siedzi przy biurku. — Wsuwa głowę w drzwi uchylone gospodyni pensjonatu, czy któraś z pensjonarek: „Pani coś tam takiego sobie pisze“?..

Nie ma odpowiedzi — Wizytantka wchodzi jednak, rozsiada się bez ceremonji i w najlepsze zaczyna gadać!..

Po cóż ta impertynencja?

Ażeby „ona nie wbijała się w ambicję, że ktoś sobie coś robi z jej bazgrania“.

Zapewne, że są to tylko komarowe ukłócia miłości własnej. Ale — przyznać trzeba — że w tych warunkach pan, który pisze, może dobrze pracować — a pani, która pisze, nie ma już tak dobrych warunków do pracy.

Proszę zwrócić uwagę, jak traktowanym jest w domu sublokator, a sublokatorka? — stołownik, a stołownicza? — nauczyciel, a nauczycielka?

Widziałam, jak gospodyni domu, wykwinna dama, własnoręcznie froterowała posadzki swoim sublokatorom — gdy nie było służącej. Ale w tym samym domu sublokatorki, płacące więcej niż mężczyźni i gospodyni, i służącej, musiały sobie zawsze wszystko same robić, pozbawiane wszelkiej obsługi.

Stołownik dostaje zawsze większą porcję, niż stołownicza, nawet deseru. I jemu podsuwane są najlepsze kęski. Powiadają mi: mężczyzna więcej jeść potrzebuje. — Bardzo dobrze, trzeba w takim razie, aby obiad mężczyzny był większy i droższy — obiad kobiety mniejszy i tańszy.

Pracząca przynosi panu bieliznę wypraną i pocerowaną — za te same pieniądze pani dostaje bieliznę wypraną, ale nie pocerowaną.

Dlatego to mówi się, że z mężczyznami jest spokój i cisza — a z kobietami kłótnia!

No, bo nie wszystkie kobiety dają się pozbawiać tego, co im się należy bez protestu, jak ow-

ce strzyżone. Proszę dalej zauważyć, jak ekspedjowany jest interesant mężczyzna, a kobieta — w sklepach, w urzędach etc. i t. d. Kobieta sobie posiedzi, nim załatwionych odejdzie kilku mężczyzn, którzy później od niej przyszedli. Zwłaszcza ekspedytorki, panny sklepowe i urzędniczki dają zawsze jawne formy mężczyźnie.

Tak! to są pyłki!... ale życie z pyłków się składa...

I tym miłym piaskiem kobieta zasypywana jest rękami kobiet...

Zanim skończę z tym paragrafem, muszę jeszcze dla miłości prawdy odwrócić medal i pokazać jego odwrotną stronę: jak się zachowują względem domu, w którym zamieszkali: sublokator i sublokatorka, pensjonarz a pensjonarka, nauczyciel a nauczycielka?

Każdy taki pan, albo nie wchodzi z domem w żadne stosunki, albo zawiązuje stosunki życiowe. Pieści się z dziećmi, zachoruje kto w nocy, biegnie po doktora, pomaga przestawić meble etc. i t. d. Często odnajęcie pokoju daje domownikowi wiecznotrwałego przyjaciela!

Z kobietą? — nie widziałam takiego wypadku!

Zaczyna się często od gwałtownej sympatii — ale po paru tygodniach egzaltacja pęka, jak zanadto nadymany pęcherz i wywiązuje się żywiołowo wzrastająca animozja. Jedna drugiej tyle nadokucza, że rozstawszy się potem, gdy się z daleka ujrzą na ulicy — przechodzą na drugi trotuar; kobiecie jest zawsze daleko trudniej znaleźć mieszkanie. Bo nie chce jej do domu wpuszczać kobieta. Wszak ona wie ta gospodyni domu, że mieszkanka będzie jej robić wszystkie te niezliczone — (excusez l'expression) świństwa, do jakich sama jest zdolna! — Przedewszystkiem taka pani zamieszka-

wszy w cudzym domu, zaczyna od szeptów ze służącą. Jeżeli to jest dobra sługa, to ją odmówi — a przynajmniej zbuntuje, jak najbieglejszy agitator. Z niej też snuć będzie niewyczerpane tworzywo do plotek.

Gospodyni i mieszkanka będą sobie nawzajem przejmować listy — zwizytują raz przypadkiem niezamknięty pokój i przepatrzą korespondencję. Jedna i druga, żyjąc razem, będą mieszały w szklance wody.

Wszystkie sekreta tualetowe i wszystkie sekreta alkowy małżeńskiej zaczną spacerować po mieście.. Uczucie, ledwie poczęte, o którym jeszcze nic nie wie sam człowiek. zostanie z duszy wywleczone za włosy na rynek ku uciesze gawiedzi, choćby to było coś tak subtelne, jak romans kwiatów z gwiazdami... Jedna drugą posadzi na ławie oskarżonych: Będą sądzone przez całe miasto: Kto winien? — ona czy mąż? — on czy teściowa — ona, czy praczka, która zgubiła, albo nie zgubiła sztukę bielizny. Jedna i druga będą rozbierane delikatnymi widełkami analizy psychologicznej na najdrobniejsze kosteczki..

Znane są wszystkie nędze i gorycze życia nauczycielki domowej. W stosunku do niej nauczyciel domowy, jest to wielki pan. Nauczyciel, sublokator, pensjonarz nie raz już sprowadził do domu nieszczęście.. Taki pan zawiązuje romans z żoną... Ale za naszych czasów daleko częściej taka pani zbałamuci męża!

Opowiadała kiedyś młoda jeszcze, bardzo ładna i miła matka rodziny, ziemianka, co nauczycielka zdążyła zrobić w jej domu w ciągu dwóch miesięcy..

„Ku najwyższemu memu zdumieniu zauważyłam po pewnym cza-

sie — mówiła — że mąż i dzieci uciekają odemnie — zauważyłam, że w obecności mojej cała ta gromadka: mąż, dzieci i ta panna porozumiewają się zapomocą jakichś masońskich znaków, gdzie się mają zebrać po obiedzie, czy po kolacji, abym ja ich nie znalazła.

A jeśli traf zaprowadził mnie na to miejsce i zjawiłam się niespodzianie, działałam, jak głowa Gorgony! milkły natychmiast rozspiewane i roześmiane głosy — kamienieli! — i rozpełzali się po jednemu momentalnie w różne strony!”

Bardzo łagodna i delikatna ta kobieta zapłakiwała się zamknięta w swoim gabinecie. Jest rzeczą niesłychanie trudną, w takich razach wytoczenie komuś pretensji: nie ma jej o co zaczepić... To są pajęczynki uczucia, które pryskają z dotknięciem słowa... tyle zyskujesz, że stajesz się śmieszna i winna! Nikt niby to nie rozumie o co ci chodzi?!... wzruszenie ramion, oburzenie i ironja odpowiedzą na jęk udręczonego serca. Wreszcie zachorowała obłożnie i przyjechała jej matka Teściowa! wielkie słowo... osoba groźna i nieprzyjemna? A dlaczego groźna i nieprzyjemna? Dlatego, że ma duże doświadczenie... wzrok przenikliwy w pole wyprowadzić się nie da — a w obronie córki staje, jak lwica. Nazajutrz rano nauczycielka opuściła dom, wysiadana bez ceremonii. I odtąd wszystko zaczęło własnym pędem wracać do dawnej harmonii i spokoju.

Dwunastoletnia Jadzia zrobiła babce zeznanie, że „dzieci miały straszny żal do mamusi“ — panna Janina mówiła, że mamusia zrujnowała tatusiowi majątek, a teraz tatusiowi rujnuje zdrowie i tatuś prędko przez mamusię umrze — a wtedy cała rodzina pójdzie z torbami...

(c. d. n.)

HELENA BOGUSZEWSKA

W KRAJU PRACY

2

TAASTRUP

Wyglądam przez okno wagonu: pola, ogrody, a przedewszystkiem domki, domeczki, małe, malutkie, niektóre tak mikroskopijne, że trudno uwierzyć, że ludzie mogą w nich naprawdę mieszkać. Czyściutki, ozdobne, wypieszczone, jak zabawki. Domeczki, ogródeczki. Na małych, zielonych pastwiskach pasą się czerwone, lśniące duńskie

krowy, uwiązane na łańcuchach. Pastwiska są sztuczne — bo tu wszystko jest sztuczne w tym kraju tak małym i tak niewiarogodnie bogatym. Nic nie jest samo przez się, wszystko zrobiła ręka człowieka ku ogólnemu pożytkowi.

Domki zagęszczają się, szeregują, tworzą ulice, skupienia. Zupełnie niepostrzeżenie wieś staje się miasteczkiem. Mybyśmy takie mia-

stecko nazwali miastem - ogrodem Dalej domki i wille znów się rozrzedzają: miasteczko staje się wsią. Między jednym a drugim niema zasadniczej różnicy. Poprostu domki z ogródkami, to więcej skupione, to znów bardziej rozrzucone.

Przed oczyma przesuwają mi się wizja jakiegoś Dęblina, Parysewa, czy Łap...

Jesteśmy w zagrodzie 6-cio morgowego gospodarza w Taastrup.

Domek jak cacko. W bawialnym pokoju biurko, wyściełane meble, lśniaca posadzka. Biblioteczka, a w niej książki: Ibsen, Selma Lagerlöff, na ścianach reprodukcje rzeźb. Sypialnia, pokój jadalny, wszystko błyszczący czystością. Ale najbardziej kuchnia. Mała, jak zabawka, a czystość tu już zupełnie niewiarogodna. A gdzie osmolone garnki? Gdzie kubły pełne pomyj? Gdzie stopy obierzyn ziemniaczanych? Gdzie brudne szafliki? Przecież wszystko to stanowi nieodzowną część składową każdej naszej kuchni wiejskiej — akurat w samo południe. Oni chyba nic zgoła nie jedzą w tej Danii!

Owszem, jedzą i to nawet bardzo dużo i bardzo dobrze. Gospodyni otwiera nam drzwi malutkiej spiżarni i pokazuje zapasy, jakieś potrawy poprzykrywane w salaterkach, wędliny, ser, jakiś czerwony kisiel. Jedzą — daleko więcej niż u nas. Ale mają wodociągi, elektryczność i różne urządzenia, które bardzo pomagają do zachowania porządku. Po jedzeniu momentalnie sprzątają, szorują, czyszczą. Boczność potrzebna jest im do życia, jak powietrze.

Oglądamy małe podwórko, wyłane asfaltem, budynki, pola, 2 krowy, 1 koń, parę świń, dużo drobiu. Wszystko w najlepszym stanie. Uwagę moją zwraca pies. Nie szczekał, gdyśmy weszli, tylko witał nas najserdeczniej. Spytałam, czy tu nie trzymają złych psów podwórzowych? Nie. Poczóżbv? Psa trzyma się pota, żeby w nim mieć przyjaciela. Stróż niepotrzebny, bo tu niema złodziei!

U GOSPODARZA OLSENA W DAASTRUP.

Gospodarz Olsen ma duży, niski, biały dom, nie taki, jak na małych 6 i 9-cio morgowych gospodarstwach, powstałych z reformy rolnej, których zwiedziliśmy kilka około Taastrup. Tam było wszystko małe, nowe, doskonale obmyślane, błyszczące od farby, lakieru i czystości. A dom gospodarza Olsena jest starodawny, zażywny, szanowny, podłogi ma wytarte i czyste, pokryte chodnikami domowej roboty, kanapy z wysokimi poręczami, meble staroświeckie, i szafy pełne srebra. Coś jakby ze skandynawskich powieści Banga czy Jonasa Lie.

A czy wiecie skąd się wzięło srebro w szafach gospodarza Olsena? Te wszystkie łyżki, kubki, puławy, imbryki? To nagrody od rządu za wzorową hodowlę świń. Bo gospodarz Olsen ma 300 przeszło

świń. Właśnie idziemy zwiedzać i oglądać cały labirynt budynków gospodarskich: w długich chlewach potworne tuczniaki; maciory z prosiętami, każda w osobnym domeczku z okólnikiem. Oprócz tych świń gospodarz Olsen ma 70 sztuk bydła, kilkanaście koni i mnóstwo drobiu — wszystko to na swoich 123 morgach. Obejście szeroko rozpostarte, jakby wrosłe w ziemię. Zabudowania rozmaite: stare, kryte słomą, nowsze, zupełnie nowe, wznoszone w miarę potrzeby. Wszystko solidne, troskliwie i celowo obmyślane. Elektryczny motor porusza maszyny, wagoniki po szynach rozwożą paszę. Wszędzie wodociągi, oświetlenie elektryczne. Połączenie najnowszych urządzeń ze staroświeckim, zażywnym i rozłożystym osiedlem. Sam Olsen oprowadza nas po swoim państwie: wyjaśnia cel i przeznaczenie każdej maszyny, każdego narzędzia.

Jużeśmy się wszystkiemu przyrzekli: zwiedziliśmy główne zabudowania, oglądaliśmy wspaniałe, czerwone krowy na pastwisku, i pole zasiane trawą kupkówką, jakby zbożem. Jużeśmy się dość nadziwili, że świń nie karmią ziemniakami, tylko jakimś fabrycznym preparatem z makuchów i ziarna.

Zabraliśmy kilka godzin czasu gospodarzowi — i oto wracamy na duży, prostokątny, wybrukowany dziedziniec, otoczony zewsząd budynkami. Z domu wychodzi pani Olsen i zaprasza nas na kawę, ślicznie zastawioną i podaną w staroświeckiej jadalni, w srebrnych imbrykach. Po kawie wypyujemy o drogę do pobliskiego miasteczka Røskilde, gdzie chcemy jeszcze zwiedzić katedrę i szkołę gospodarstwa wiejskiego dla dziewcząt. Żegnamy się i odchodzimy. Daastrup znika za drzewami. Odwracamy raz jeszcze głowy: widać już tylko wieżyczkę anteny sterczącą z dachu domu. Bo gospodarz Olsen po dniu ciężkiej pracy zdejmie drewniane trepy i bluzę roboczą, ubierze się pięknie, zasiądzie ze swoją gromadką i będzie słuchał radiokoncertu z Paryża, Berlina, Londynu...

UNIwersytet Ludowy KOŁO HILLERÖD.

Mijamy śliczne miasteczko Hilleröd: rynek, staw, wspaniałe, ponury zamek Frederiksborg nad wodą — i idziemy dalej drogą wśród pól. Przez otwartą bramę w murze wchodzimy na wielki dziedziniec. Na prawo mamy park, na lewo wielki, murowany gmach, opleciony winem czy też bluszczem. W samym środku, nad głównym wejściem — kamienna płaskorzeźba: portret Grundtvicka: to twórca

uniwersytetów ludowych. W ciągu tego tygodnia ileż razy spotkałam się z jego nazwiskiem! Ileż tu rzeczy dzieje się pod tym znakiem!

Kierownik szkoły wita nas i objaśnia, że właśnie jest letni, trzymiesięczny kurs dla dziewcząt. Pełno ich jest: jedna grupa z nauczycielem śpiewa dla nas pieśni duńskie, tam pod drzewami. Inne siedzą sobie na trawie, bo to pora południowego odpoczynku. Z głębi ogrodu nadchodzi dziewczęta z koszami pełnymi malin. Wszystko to, w tej letniej pogodzie, wygląda jak w teatrze: maliny, śpiewy, barwne sukienki dziewcząt, kamienna twarz Grundtvicka wśród bluszczu. Wchodzimy do gmachu, oglądamy śliczne sale: jadalnię, klasy, świetlice, pracownię, pokoiki uczenia i nauczycielek. Wszystko ozdobne, czyste, ładne — i takie, że chciałoby się tu pozostać, tu być. Kierownik, młody, szczupły człowiek o niezmiernie szlachetnej, uduchowionej twarzy, objaśnia nam cel i istotę uniwersytetów ludowych. Mówi — ma twarz poważną i prawie natchnioną. Każde zdanie najpierw po duńsku, potem po niemiecku, na koniec po polsku. Szkoda, że nie możemy chwytać tych słów bezpośrednio — bo to są śliczne słowa. Oznajmia, że uniwersytet ludowy niema żadnych celów praktycznych. Nikt tu nie przychodzi, żeby zdobyć dyplom, czy posadę, a tylko jedynie, żeby stać się lepszym i mędrszym, żeby osiągnąć wyższy stopień rozwoju duchowego. „Widzieliście nasze dziewczęta, słyszeliście, jak śpiewają. Może potraficie wyobrazić sobie, jak one tu żyją i pracują wszystkie razem. Chodzi nam o to, żeby rozszerzyć ich widnokrąg, żeby podnieść je na wyższy poziom intelektualny i duchowy. Uczą się literatury, historii, języków, historii kultury i sztuki. Niektóre tylko wykłady są obowiązkowe, innych słucha kto chce i kiedy chce. Nie robi się żadnych notatek. To system Kolda, który wprowadził w życie ideje Grundtvicka. Kiedy jeden z uczniów spytał Kolda, co ma na to poradzić, że dopóki słucha, wszystko rozumie i wie, a potem zapomina, Kold mu odpowiedział: nie troszcz się o to, bo z myślami będzie, jak z ziarnem wsianem w ziemię: odnajdą się same, skoro będziesz ich potrzebował“.

3 milionowy naród duński ma około 70 takich uniwersytetów dla mężczyzn i kobiet, każdy ósmy człowiek przechodzi przez uniwersytet ludowy. W 70 uniwersytetach uczą się jedynie po to, żeby się stać mędrszymi i lepszymi. I jakże miałoby się dziać źle w takiej Danii?

ADOLF CZERNY

CUDZOŁOŹNICA

Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni.

Z za wzgórz w oliwek szacie biel się dnia wylania.
W świątynię Syn Człowieczy wczesny powiódł krok,
z księgi proroków miejsce wybrał do czytania,
by lud nauczać prawdy, co przełamie mrok.

W świątyni powstał zamęt: między znawce prawa
patrz, przywiedli niewiastę, — włos się kruczy płótl
jałą przez pierś dyszącą; dzika mędrców wrzawa
trwoży ją — zbladła — zemsty uderzył w nią głód.

Zemstą płonie wzrok mężów, iż w sieć grzechu wpadła,
ona wie, że kamieni runie na nią grad,
ale ten wzrok, straszniejszy od zgonu widziadła,
dreszczem się przerażenia do jej duszy wkradł.

Czemu ją w chram przywiedli, gdzie mieszka Jehowa,
co przez usta Mojżesza prawem zemsty grzmi?
O jak z mroku na grzeszną patrzy twarz surowa!
Widzi pięść zaciśniętą, nasrożone brwi...

By nędzny liść się chwieje, ugina się noga,
Straszny sąd się rozegra, któż jej pomoc da?
Już mówi faryzeusz do mściwego Boga:
„Patrzaj! cudzołożyła et niewiasta ta.

Kamienowaniem zakon mojżeszów uśmierca,
Lecz do cię ją przywiedlim, — ty nam, Mistrzu, mów!“
Skądże to nagłe ciepło wpływa jej do serca?
Skądże nieszczęsna czuje, że ożywa znów?

Wniosła zdumiałe oczy — tu niema Jehowy,
choć w mgle strachu widziała Jego lica złe,
to jeno prószy przed nią rozświt dnia różowy
i swoje ciche blaski w głąb jej duszy tchnie.

Pan spojrział na nią, skłonił słodką twarz ku ziemi
i w ziemskim kurzu ręką dziwne znaki wiódł.
Wszyscy czekają sądu z ciekawości niemi,
już dziki kamień zemsty radby chwycić lud.

I znów się wkrąg Jezusa w zbitem sparli kole,
a On po ziemi palcem długi wodził czas,
aż rzekł Pan cicho, widząc niewiasty nicdolę:
„Który z was jest bez grzechu, niech w nią ciśnie głaz!“

Dalej cisza. Pan w prochu dziwne znaki kreśli.
Jak urzeczona stoi grzesznica bez słów, —
Żli ludzie z chramu kroki wymkliwe unieśli,
została ona, Chrystus, Zorza. — Cicho znów.

Oderwał wzrok od ziemi, spojrzął po świątyni
i twarz jej smagłą spotkał okiem Człeczy Syn.
„Nikt — że — spytał — nad tobą sądu tu nie czyni?“
„Nikt“. „I ja, — rzekł — niewiasto, twych nie sądzę win“.

A niewiasta wciąż stoi, jakoby zakłęta.
Kto - li jest ów mąż cichy, co ku ziem gniew skroń,
który nie woła sądu i win nie pamięta,
gdzie Mojżesz kamień pomsty wsuwał w gniewną dłoń?

I znowu Pan dusz cichych spojrzął na grzesznicę,
„Idź i nie grzesz“ — głos szepnął, jako echo zwian.
Poszła; grzech z czoła zmyty, promienieje lice,
a nową wierną w uczniów kole zyskał Pan.

przełożyła z czeskiego JULJA DICKSTEINÓWNA

Znakomity poeta czeski, Adolf Czerny,
(Jan Rokyta), jest jednym z najgorę-
szych rzeczników zbliżenia swojego
narodu z naszym.

JANINA MASZEWSKA-KNAPPE

LEGENDA O „KSIĘŻYCOWYCH KAMIENIACH“

Na wschodnim brzegu Indji Zagan-
gesowych leży dziwny, piękny, eg-
zotyczny kraj — Annam — (spoczy-
nek południa). — Obcy ogółowi
ludzi Europy, daleki, nieznanymi pra-
wie, oporny kulturze i zepsuciu
naszych lądów, broniący mocno
swych praw ojczystych i starych
wierzeń, część tylko swej ziemi
utracił w krwawych, szalonych wal-
kach z francuzami, część tą prze-
robiono na „Francuską Kochin-
chinę“.

Część jednak znaczna tego kraju,
od mieczów tępiących Europy oca-
łała i trwa nadal, odrębna, egzo-
tyczna, w sobie zakłeta, czaru pełna.

Przytulony na północ do Chin,
oblany na południu Morzem Chiń-
skim i na wschodzie zatoką Tong-
Kong, przesiąknięty jest silnie wpły-
wami chińskimi. Mieszanka swojs-
ta kultury staroinduskiej i buddyz-
mu z „surowymi zasadami Konfu-
cjusza, którego wiarę część lud-
ości wyznaje — ma on cesarza, potomka
wielu starych pokoleń, na dziedzicz-
nym tronie i stolicę kraju: piękne
miasto Hue.

Dziwny, cudny kraj... gdzie przez
rok cały pachną kwiaty, gdzie ptaki
o tęczy kolorach z bajki tulą
się wśród gałęzi puszczy, gdzie stada
słoni, bawołów i tygrysów mkną
za swem pożywieniem swobodnie
i wolne — gdzie ziemię żyzną żyły
złota opasują. Gdzie każde ognisko
rodzinne ma swój ołtarz ku czci,
głębokiej czci przodków, a każdy
młodzian czoło chyli do stóp starca
za to, że życie przeżył... Gdzie nie-
wolno dziecku skrzywdzić nawet
muszki małej, a rota przysięgi
ślubnej kobiecej — brzmi:

- „O wszechpotężni, błogosławcie temu,
kogo kocham!“
- „Niechaj dusza moja zagubi się w jego
duszy“.
- „Niechaj dłoń mego męża szuka mej
dłoni w dniach smutku i boleści, jak w
szczęściu i radości...“
- „Niechaj ognisko nasze będzie świątynią
pokoju“.

To godzi z życiem. Godzi z ży-
ciem taka świadomość, że gangre
na zła, przewrotności i zepsucia,
cały realizm obecnych czasów nie
wszędzie jeszcze dosięgnął. Że są
na globie ziemskim takie zagubione,
dalekie, świetliste kraje, w których
ludzie umieją czcić, szanować, mi-
łować i wierzyć, i gdzie się z pie-
tyzmem przechowuje z pokolenia
w pokolenie legendy stare, a czaru
pełne.



Śłuchajcie.

— Była kiedyś, kiedyś, cudna,
mała annamicka księżniczka — Ly.
Miała usta jak kwiat granatu, włosy
ciemne jak noc i oczy o gorących,
złoty blaskach topazów. I duszę
rozśpiewaną jak harfa wielostrun-
na... I była pieszczona, przepychem
otoczona — a pokochała prostego,
dzielnego, z trudem przez życie się
przedzierającego młodzieńca. Nie
miał on tytułów, ani bogactw, jeno
dwie ręce do pracy, duszę czystą
i oczy mądre. I całą duszą po-
kochała biednego chłopca cudna,
wypieszczona księżniczka Ly...

Ale na festynie dworskim zoba-
czył małą księżniczkę stary król.
Otoczony fałszem, zimną obłudą,
zaprażył dla siebie młodych ust,
śpiewnej duszy, gorących oczu
księżniczki. A starym królom nikt
nie odmawia, i poszła cudna, biedna
Ly — w starca objęcia.

W przepysznej, złoconej sypialni
królewskiej w gorące wonne noce
annamickie tłukła się rozpacznie
po złotogłowie łzami zalana, czarna
główka Ly. Rączkami, o palcach,
obsypanych przepyszny kamie-
niami, przyciskała tętniące, oszalałe
z bólu i tęsknoty serce i gryzła do
krwi usta, aby się nie wydarł z nich
szloch, coby mógł przerwać za-
służony sen — śpiącego obok niej
starego króla. Aż duchy domowe,
dobre duchy przodków, jej męce
się litowały i w kryształową czarę
zbierały — te wylewane łzy. A księ-
życ wzruszony blaskami swojemi
je oblewał, że się zaiskrzyły i w
cudne kamienie o dziwnym, chłod-
nym księżycowym blasku zmieniły!

Czuł stary, mądry, dobry król,
że mała Ly go nie kocha.

Miał jej ciało — ale bez serca...
miał jej usta — ale nie miał duszy...
I myślał, że może je kupi.

Lecz szkatuły z perłami, rubina-
mi i złotem rozsypała mu Ly u nóg.

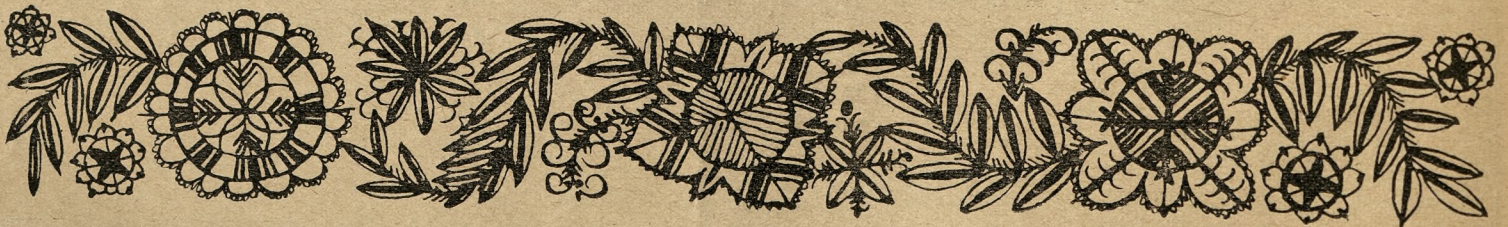
„O Królu, mój Królu, — ja od-
dam ci wszystko — za szczęście,
za miłość, — za biedę, za nędzę —
lecz z tamtym!“

I zwolnił stary, mądry król z wę-
złów ze sobą — Ly.

I oddał sam „tamtemu“...

A w cudną, gorącą, pełną woni
i upojenia noc szczęścia i rozkoszy,
słodkiej, ślicznej Ly — z umiłow-
nym, nad przepych i dostojęstwa
wybrany człowiekiem — włożyły
dobre, błogosławiące, opiekuńcze
„duchy domowe“ na szyję Ly na-
szyjnik z kamieni, — naszyjnik z jej
łez.. talizman wielkiej, wiernej mi-
łości...

I zwał się tam kamienie owe do
dziś dnia „łzami królowej Ly“ i każda
dziewczyna annamicka musi mieć
na swem sercu w noc poślubną
z umiłowanym człowiekiem — ów
kamień, utkany z promieni księżyca,
kamień królowej Ly!...



WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Nowela odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie Koła Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego.

Z D R A D A

(nowela)



fioletowo-sinym mroku jesiennego wieczoru, rzuconą, jak przełęcz, przez środek pogranicznego miasteczka ulicą, odprowadzał kapitan Czółno narzeczoną do domu. Gęste mgły oblepiły mury dwupiętrowych kamienic i wyścieliły przestrzeń między domami gąbczastą, mokrą watą, zatkwały szczelnie wszystkie zakamarki i otwory poprzecznych ulic, tak, że ostre kontury węglów i dachów zaokrągliły się, zatarły, zlały niemal w płynną, kosmiczną, szarawo białą ciecz. Granatowe refleksy zaczynały tam i sam skłębioną masę mgieł — wielki cień nadciągającej, bezgwiazdnej nocy słał się na zachodzie.

Z okien apteki bryznęła fala światła. Narzeczeni przeszli w rozbłysku żółtych promieni i z powrotem przyglęli do wilgotnych, ciemnych murów. Kilkanaście kroków w mdłym świetle pawich oczu lamp i znów krąg jaskrawej światłości, bijącej z okien restauracji, niby z reflektorów.

Zatrzymała ich na ulicy, przed wejściem do restauracji, grupa mężczyzn. Trzej ostatni wychodzili kolejno, jak fantomy, z pod niskich prostokątów oświetlonego wnętrza na ciemną, zakutą we mgłę, ulicę. Wszyscy weszli bezpiecznie przychylnego zmięczenia. Oglądali się podejrzliwie dookoła i rzucali na stojących przed nimi kapitana i niewiastę złe spojrzenia.

Sabina chciała zejść na jezdnię i ominąć podejrzanego indywidua, ale oto złośliwy blask ciśniętego przez odemknięte drzwi światła, liźnął judaszowym pocałunkiem policzek, nos, czoło jednego z mężczyzn. Cofnęła się, zdumiona, o kilka kroków, pociągając za sobą narzeczonego. Stanowczo widziała już gdzieś tę twarz, tę kwadratową niemal, czerwono-siną maskę, z ustami od ucha do ucha, z małymi, chytremi oczami, ciskającymi na przeszpiegi niespokojne spojrzenia. Kapitan zapytywał ją wzrokiem, co ma oznaczać ten manewr. Jak zbawcze, radosne natchnienie, przyszła na nią mocna, wyraźna pewność. Przed laty... Zaczęła mówić, nerwowo, zacinając się:

— Pamiętasz, Ryś, dezertera z defenzywy? Złapałam go na wy-

kradaniu aktów z kancelarii polowej, pamiętasz?

Pamiętał, oczywiście. Przytrzymała go, mocowała się z nim niemal kwadrans, dopóki nie nadbiegł na jej krzyk Czółno. Od tamtego wypadku przyjaźń ich...

— Właśnie! — podchwyciła.

Pauza.

— No, więc?

— Jest tu, między temi ośmiu drabami.

Czółno nie wierzył. Szli za oddalającą się szybko grupką mężczyzn.

— Widzisz, na widok twego munduru uciekają, biegają...

— Ależ tamten dostał dziesięć lat więzienia!

— Chyba się mylisz, Sabino!

— A więc udało mu się zbiec. Nie myślę się, poznałam go odrazu, taka charakterystyczna twarz! Lombroso by się ucieszył z takiego typu!

— Zatrzymamy ich — powiedział kapitan.

— Ale ich jest ośmiu. Policzyłam. Z pewnością wszyscy mają broń! Nie damy rady we dwoje. Zdołają zbiec. A toby dopiero efekt, gdyby ujął wszystkich ośmiu! Musi to być szajka szpiegów, granica tak blisko.

Przyznawał narzeczonej rację.

— Wartoby ich capnąć wszystkich, dobrze powiedziałaś, ale w takim razie trzeba o pomoc. A tu, jak na złość, nikogo naokół. Co za podła dziura to M. O siódmej pusto na ulicach, jakby wymiotti.

Podążali wciąż za podejrzanymi indywiduami. Rozglądali się dookoła. Nikogo! A nadto mgła utrudnia rozpoznanie kogokolwiek. Tych ośmiu zniknęło za zakrętem. Narzeczeni rzucili się w ślad za nimi, wzdłuż muru, czujni po dwa-kroć przez nienawiść.

— Trzeba było wtedy, przy restauracji...

— Ba, zapóźno! Ale gdyby jeszcze jeden wojskowy... gdyby choć cywil... Posłalibyśmy po pomoc!

— Ryś, a więc, idź ty. Weź dwu żołnierzy z Komendy Placu! Ja ich będę śledzić!

— Oszalałaś! Zrobimy przeciwnie! Ja za nimi, a ty...

— Przenigdy! poznają cię po mundurze! Gdy ja, kobieta... każda niewiasta wydaje się mniej podejrzana i niebezpieczna.

— Sabino, to wszystko napróżno! Nie zostawię cię samej!

— Zapominasz też, że Komenda może się nie zgodzić, i słusznie, na przydzielenie mi kilku żołnierzy... Z jakiej racji? Co panią to obchodzi? Podczas gdy na twój rozkaz... Oh, kapitanie, zresztą, to nie po męsku, robić z kobiety ordynansa!

— Nie po męsku jest zostawić ją samą!

— Ryś, wrócisz za chwilę! Dojdę najwyżej do rogatek! Będę ich stamtąd obserwować!

— Sabino!

— Czy napróżno dostałam „Virtuti”? Na piękne oczy? Obrażasz mnie tym brakiem zaufania!

— Owszem, nienapróżno... ale Saba, pomyśl na co się narażasz...

Szli, mówiąc. Czółno trzymał narzeczoną za rękę, kurczowo, jak gdyby bojąc się, żeby mu się nie wyrwała.

— Narażam się! Jesteś zabawny! Czy nie byłam na froncie!?

Zatrzymała się, oburzona.

— Ty mnie, rzeczywiście, obrażasz, Ryś!

Patrzył na nią desperacko i bez woli. Kobięcą intuicją wyczuła, że góruje nad nim teraz niepodzielnie i że decyzja i inicjatywa zależą teraz wyłącznie od niej.

— Ryś, proszę się uspokoić. My się wahamy, a oni się oddalają coraz bardziej. Natychmiast masz iść po pięciu żołnierzy do komendy. Ja dojdę za nimi do rogatek.. Zorientuj się w kierunku.

A na widok jego zrozpaczonej miny:

— Słyszysz, dojdę tylko do rogatek, do ro-ga-tek!

— Nie pójdziesz za miasto? — spytał złamanym głosem.

— Nie! Będę tam na ciebie czekała! Biegnij natychmiast! Oh, tyś dziecko, nie kapitan, Ryś!

— Sabino, błagam cię, bądź ostrożna... nie hazarduj się.

Pobiegł jak szalony w poprzeczny zaułek, gdy ona dopadła do węglu ulicy, w którą skręciło ośmiu mężczyzn. Ujrzała we mgle słabe zarysy poruszającej się masy. Pomyślała, bezradna, że mogą jej zniknąć z oczu. Podążała za nimi, napozór spokojna i opanowana, w sobie — kipiąca od emocji spodziewanych wypadków. Z takim samym uczuciem wyruszała często na polowanie.

Szli teraz ku cmentarzowi. Zdaleka majaczył biały pas cmentarnego muru. Byli już za rogatkami miejskimi. Wahala się, czy iść dalej, czy też lepiej dotrzymać obietnicy narzeczonemu. Powinna ich wszak ciągle mieć na oku. Pójdzie za nimi, niedaleko, postara się zorientować w kierunku. Ryś powinien lada chwila...

Zaczęło mżyć.

Skuliła się w sobie, zmalala, zamieniła się we wzrok. Kroki idących przed nią człapały z pluskiem w kałużach na szosie. Dochodziły ją pojedyncze słowa. Rozmawiali po rosyjsku. Była teraz pewna, że się nie omyliła i że kroczy mądrze, podstępnie, chytrze, za szajką aferzystów i szpiegów, jak przebiegły detektyw śladami zwężonych przestępców. Zbliżali się do cmentarza. Obejrzała się za siebie i zobaczyła w grubej opończy mgieł czerwone i żółte światełka, niby rój świętojańskich robaczek, przyćmionych dymiącymi oparami — światła w mieście. Nikt nie szedł od rogatek, podczas gdy ona oddaliła się już na dobre od miasta.

— Ryś napewno już wraca, gdyby nie te mgły, poznałabym go z daleka.

Wiatr zerwał się od pół. Sabine zimnymi, polipiemi ramionami obejmował lek. Postanowiła zachowywać większą ostrożność, a nawet nie iść dalej. Zeszła w przydrożny rów. W ten sposób sylwetka zmalala przynajmniej o pół łokcia. A jednak ciągnęło ją naprzód. Wszak, gdy tylko straci ich z oczu, wszystko przepadnie. Co za wstyd wobec nadciągającej pomocy, gdy ją zastaną z niczem. Postanowiła iść. Ukrywała się za słupami telegraficznymi i przytulała się do mokrych pni rosochatych wierzb. Oni skręcili na prawo i szli wzdłuż muru cmentarnego, rysując się złowrogo czarną bandą nocnych włóczykijów na białym podmurowaniu wapiennym.

Przysiadła w rowie i obserwowała ich czujnie, idących kolejno, jeden za drugim. Trzeci od końca zaświecił latarką: wątły, złotawy promień błakał się na grzbietach zoranych skib. Usłyszała podniecone głosy — musieli go lżyć, bo cienka

nitka promienia przypęzła jak żmija pod grudę i zagasła. Ginęli jej, jeden za drugim, za załamaniem muru, na prawej stronie. Zaniepokoiła się, że narzeczony dotychczas nie wraca. Co robić? Zostać... W takim razie za murem cmentarnym — szukaj wiatru w polu, bo któż odgadnie, w jakim kierunku?!.. Dopadła więc, szalona, do bramy cmentarnej, pozostała chwilę we wgłębieniu zamkniętych wrót i na nowo zaczęła się wlec ich śladem, do węgła. Serce biło jej mocno, równemi, miarowemi ciosy, jak ostrzegawcze memento dzwonu, na trwogę. Wychylała się powoli z za kantu — zobaczyła ostatniego z idących; oddalał się szybko, rzekłbyś, niesiony na grzbiecie niewidocznego rumaka: miała wrażenie, że biegl. (c. d. n.)

CZY NIE PARADOKSALNE?

Przed paroma tygodniami stała w sądzie jedna z pierwszych naszych adwokatów — p. Sokołowska, broniąc, jak donoszą pisma — z wielkim talentem Piotra Michalika, sprawcę tajemniczego zabójstwa, dokonanego na osobie niejakiej Anny Galickiej, znalezionej w okolicach Wyszkowa na torze kolejowym obok szyn z roztrzaskaną głową.

Dlaczego posądzono o zbrodnię Michalika, skoro denatka może sama w jakimś rozpaczliwym porwywie rzuciła się pod pociąg?

Śledztwo wykazało, że Galicka była służącą u oskarżonego, człowieka żonatego, ojca pięciorga dzieci, gospodarza na 40 morgach własnej ziemi. Lekarz ekspert — po dokonaniu sekcji — stwierdził u zmarłej stan ciąży.

Przeświadczenie o dokonanej zbrodni opierało się na tem, że trup leżał nie na szynach, lecz obok nich i że pociąg przeszedł prawdopodobnie tylko przez chustkę, nie naruszwszy ciała, gdyż nigdzie — ani w pobliżu nie było śladów krwi. Natomiast znaleziono kałuże krwi, zasypane piaskiem i przykryte jałowcem, w odległości

kilkuset metrów od toru kolejowego, gdzie leżało ciało zmarłej. A jeszcze dalej znaleziono pasmo lnu i znowu krew. Natrafiono również na ślady stóp Michalika, prowadzące od pasma lnu i obu stężonych kałuży krwi. Ślady owe zawróciły do toru kolejowego, odznaczony się wyraźnie na miejscu, w którym leżała Galicka.

Sąsiedzi ustalili, że w dniu tragicznym wybrała się ona około 2 po poł. do ojca, żeby zanieść mu trochę lnu i już nie wróciła. Przed wyjściem podobno gorzko płakała.

Poszlaki mordu były aż nadto wyraźne. Mimo iż Michalik nie przyznał się do niego, prokurator zażądał surowej kary, którą Sąd Okręgowy w składzie czterech sędziów — po sześciogodzinnej naradzie — wyznaczył jako dziesięć lat ciężkiego więzienia.

Nie ulega wątpliwości, że Michalik — dokonawszy mordu na osobie Galickiej, chciał wywikłać się z niewygodnego dla siebie położenia ojca — nieprawego dziecka. Postanowił zapewne ukryć ten fakt przed żoną, a Galicka robiła mu może wymówki i groziła, że sama to wyjawia.

Tajemnica jej przeżyć i grzechu niedozwolonej miłości zeszła z nią razem do grobu. Pozostał okrutny czyn mordercy. Pozostała wiecznie jedna i ta sama zjawą, że ofiarą nieślubnej miłości pada zawsze kobieta, — że kochanek — po zaspokojeniu żądz — czuje się w prawie dokonania na kobiecie nawet zbrodni.

Mord na Galickiej, został wykryty, a zabójcę — niedoszłego ojca nieślubnego dziecka — broniła z wielkim talentem kobieta.

Czy od takich spraw powinny zaczynać karierę swoją pierwsze nasze adwokatki? I — czy wogóle powinny je podejmować?

Przed prawniczkami świata całego leży otworem wielka dziedzina nieuregulowanej sprawy dochodzenia ojcostwa, obrony matek nieślubnych i równouprawnienia dzieci nieprawych.

Czyżby innym torem miały iść nasze adwokatki, doktorzki praw, aplikantki i sekretarki sądowe? C. W.

Dalszy ciąg studjum K. Bielańskiej p. t. „Piękna Pamela”
w numerze następnym.

NIC WAŻNEGO

KOBIETA Z „CHARAKTEREM“.

Silny charakter. A, bardzo podniosła rzecz. Ale do czego to jest potrzebne? Zresztą—przepraszam... Aleksander Wielki, Napoleon, była też jakaś matka Spartanka... No, fak; właściwie wiadomo do czego to potrzebne: Morze krwi, smok zdeptany stopą z żelaza, operacja bez chloroformu, synowie umierają na tarczach—matki, zboleła, idą do dancingu, pewien telegrafista z okrętu telegrafuje ciągle o pomoc, choć pasażerów dawno rekińki połknęły; czasami kasjerzy umierają w nędzy. Oczywiście — wiadomo. Otóż, moi państwo, — nie. Tamto wszystko dobre, ale w wypisach na klasę drugą. Natomiast w życiu silny charakter potrzebny jest np. do ładnego noszenia sukien.

Doprawdy: mężczyzna słaby nigdy nie będzie eleganckim panem, wytworną damą nigdy nie będzie kobieta bez charakteru. Strój—na to, żeby się stał ozdobą człowieka—musi przedtem zostać przezwyciężony. A sprawa wcale nie przedstawia się łatwo. Suknia (dwa metry kaprysu, albo cztery metry komfortu) jest jednym z najdrażniejszych stworzeń na świecie, i pan porucznik sto razy do'kliwiej czuje się podkomendnym munduru, niż pana generała. Jakiej bo szarzy spojrzenie zdoła rzucić w życiu tyle złych uroków, co źle przyszyty guzik? Dlatego właśnie, idąc ulicą, tak wiele widzisz dobrze skrojonych pał, a tak mało pięknie wyglądających ludzi. Są skrupowani, noszą ubranie, niczem moralny obowiązek—z namaszczeniem, z pokorą. Tylko, że nakazy sumienia obnosi się po świecie raz na rok, zaś „tualetę“ codzień. A przecież istota urzeczona przez własny kapelusz nie może być ładna... W oczach jej, zamiast kokieteryj, zamiast nieba, czy piekła, widać nieustannie tylko egretę z krossów i egretę z krossów.

Zapewne—każdy strój niesie ze sobą ten, a nie inny nastrój.

Sęk jednak w tem, kto jest panem, a kto ofiarą: czy suknia tyraniżuje swoim nastrojem ciało, które obleka, czy też ciało modeluje suknię w kształt własnych swobodnych poruszeń. Niestety, charakter poległ „na tarczy“ razem z telegrafistą Tytanicznym;—wśród przechodniów na Nowym Świecie spotyka się 95% niewolników buta albo rękawiczki, a kilka zaledwie osób wytwornych. Po rozmowie z temi kilkorgiem nikt nie powie, z którego boku mieli godet'y, z którego kieszenie, bo tak dobrze byli ubrani, że cały czas patrzeć im mogłeś

w oczy i na usta. Inaczej z „pirwszą klasą“!..

Ci nie dopuszczają żadnych złudzeń na temat wypustki u mankiotów... Jeżeli wypustka jest modna, noszą ją przed sobą, niby transparent z Bogiem i Ojczyzną, póki całe miasto nie pocznie wrzeszczeć „Niech żyje wypustka!“.

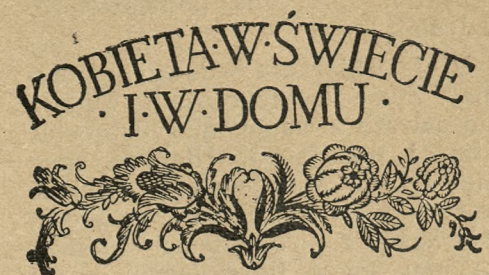
Mija nas blondyna w skórzanym kaftanie. Sport. Idzie sobie od dentystry do fryzjera; wróciwszy do domu, będzie smażyła konfitury. Ale nagłówkiem jej dnia jest sport, zaklęty w skórzany kaftan i reniferowe rękawice. Zasunęła ręce w kieszenie, stąpa szeroko, mina niezależna, oko zuchwałe. Cały akcent na płaskiej stopie. Tak — płaskiej. Ta płaskość jest manifestacyjna, radosna, jak wyzwanie. Pani z rozmysłem włoży w kałuże, depce skórki od pomarańcz, zezując przytem złośliwie ku nóżkom na koturnach, które ślizgają się po chodnikach zażenowanym gestem łabędzi.

Przed wystawą Myszkorowskiego stoi „la femme chic à Paris“, zaplątana niewiadomo czemu w Warszawie. Apostołuje. Każdym ruchem, każdym spojrzeniem mówi: „patrzcie, parafjanie, tak wygląda kultura Zachodu“. Mianowicie: parasol kusy, jak obsadka, pękaty, jak sowa i koniecznie pod pachą dziobem do góry, nogi stoją sztywno sposobem kończyn lalczanych—nawne i na wszystko wydane, brzuszek zlekka wypięty, głowa cała w sukiennym futerale, rzekłbyś narzędzie optyczne, ukazuje tylko usta—karminową soczewkę, w której błyszczą zęby. Pani stoi oprawiona w ramę zapachów mocnych, jak triple sec i półgębkiem toczy niewidzialne oko. Ta pani żyje za ledwie setną częścią naskórka, strój pasożytuje na jej ciele, niby liszaj na korze drzewnej—ona do nikogo się nie śpieszy, nie ma żadnych spraw do załatwienia, nie jest jej zimno, ani gorąco; stoi na ulicy, bo ma na sobie nowy kostjum od Drécolle'a. Tu kres piękności i inicjatywy. Wszystkie soki życiowe poszły w strój i oto ten żakiet, uwieńczony kapelusikiem, kwitnie na miejscu, gdzie powinna perlić się kobieta.

Kobieta... Jedna idzie ku nam ulicą Traugutta. Wymowna już zdaleka przez każdą falę chodu, przez każde nachylenie rzes... Widać, jak mężczyźni odwracają za nią głowy i jak uśmiechają się do niej dzieci. Przyszła. Jesteśmy szczęśliwi. Już nas minęła—o wiele mniej pięknie wygląda Krakowskie. Zostajemy melancholijni i rzeźcy zarazem, ni to po kieliszku Burgunda. W myślach niepokój: jak

była ubrana ta kobieta? Ach, wszystko jedno! Miała na sobie po prostu coś ślicznego. (To była kobieta z charakterem).

Marja Kuncewiczowa.



RECEPTA NA SZCZĘŚLIWE MAŁŻEŃSTWO.

Pismo kobiece angielskie „Lady's Realm“ zamieszcza wywiad z panią Klarą Butt, artystką angielską, która zdobyła sobie sławę nie tylko dzięki swym talentom wokalnoscenicznym, lecz także z powodu niezwykle przykładnego i szczęśliwego pożycia małżeńskiego. Pani Butt obchodziła niedawno dwudziestą piątą rocznicę swego ślubu, a przez cały ten czas — jak oświadczają oboje małżonkowie — nie było pomiędzy nimi ani jednej kłótni, ani jednego poważniejszego nieporozumienia.

Zapytywana o „receptę na szczęśliwe małżeństwo“, pani Butt odrzekła:

„Na mocy mojego dwudziesto-pięcioletniego doświadczenia, doszłam do przekonania, że warunki osiągnięcia szczęśliwego pożycia małżeńskiego dałyby się streścić w kilku „przykazaniach“ do użytku obojga małżonków. Przykazania te brzmią jak następuje:

I „Kochajcie się wzajemnie!“ Jestto najważniejsze z pośród wszystkich przykazań. Bez tego warunku niemożliwą do osiągnięcia byłaby harmonia pomiędzy małżonkami. Drobne chmurki nieporozumień, zbierające się na horyzoncie przez cały czas pożycia małżeńskiego topnieją w słońcu miłości, bez tego słońca zaś rychło przemienić się mogą w groźną burzę.

II „Przebaczaj, aby ci było przebaczone.“ W każdym pożyciu konieczną jest wzajemna wyrozumiałość. Ustępowanie sobie w drobnych szczegółach życia wywołuje zgodę i zadowolenie.

III „Ufajcie sobie nawzajem.“ Nic bardziej nie podkopuje szczęścia małżeńskiego, jak brak zaufania wzajemnego. Kto nosi w sobie zarodek podejrzliwości, komu łatwo przychodzi posądzić drugą stronę o najgorsze występki i zdrady, ten zamienia dom swój i rodzinę w najgorsze piekło.

IV „Życie w zgodzie!“ Chociaż byście nawet różnili się pod względem zapatrywań, usposobienia itd. stosujcie do siebie zasady wzajemnej tolerancji. Cóż może być okropniejszego, jak kłótlive małżeństwo? Pamiętajcie zwłaszcza, jaki zły wpływ wywiera na dzieci ciągły przykład sprzeczek pomiędzy rodzicami.

V „Jeśli bierzesz — dawaj wzajemnie“. Życie każdego stała się zawsze z wzajemnych ustępstw, ofiar i poświęceń. Niechże więc mąż i żona starają się prześcigać w tych ofiarach. Dopiero wtedy, gdy każde z nich postawi sobie za zasadę: „chcę tylko dawać — nie zaś brać“ — może być mowa o prawdziwym szczęściu.

VI „Nie bądźcie skąpi w pochwałach!“ Stosuje się to zwłaszcza do mężów. Kobiety są wogóle niezmiernie wrażliwe na naganę i nic nie może być równie bolesnym dla żony, jak fakt, że mąż tylko wtedy zwraca uwagę na jej pracę, gdy ma jej coś do zarzucenia. Umieście ocenić i pochwalić drobne przysługi, które wam oddaje, jej czynności domowe i gospodarskie i t. d. a zobaczycie, jak będzie wam wdzięczną i jak wzajemna miłość wasza wzmoże się i nabierze serdecniejszego ciepła.

VII „Nie bądźcie zbyt wymagający!“ Nie należy nigdy idealizować sobie swej wybranki, — czy też swego wybrańca — bo wtedy zawsze oczekuje nas rozczarowanie. Niestety, na tym punkcie właśnie ludzie najczęściej popełniają wiele błędów. Mężczyzna, zeniąc się, widzi w swej żonie „anioła“, i potem z goryczą przekonywuje się, że jest to tylko zwykła kobieta, nie gorsza od wielu innych, ale też i nie lepsza. Kobieta znów uważa swego przyszłego za „bóstwo“, nie posiadające żadnych ludzkich ułomności, ani słabostek — i jakże potem cierpi nad swem rozczarowaniem!

VIII „Bądźcie zawsze weseli i pogodni!“ Dobry humor nazywali starożytni mędracy „solą życia“. Jeśli bierzesz życie ze strony pogodnej, jeśli umiesz śmiechem i żartem przyjąć różne drobne niepowodzenie i troski — wygrałeś wielki los na loterii szczęścia. Pogodny uśmiech może zagoić rany i wygładzić zmarszczki na czole, pooranem troską życiową.

IX „Strzeżcie się egoizmu!“ Najpotężniejszy wróg miłości małżeńskiej — to egoizm, wymaganie wszystkiego dla siebie, koncentrowanie się na sobie, bez myśli o innych. Czyż może być szczęśliwe pożycie małżeńskie tam, gdzie żona

myśli tylko o swych wygodach, zabawach i przyjemnościach, z pominięciem swych obowiązków względem męża i dzieci? Albo tam, gdzie mąż po ślubie prowadzi dalej „życie kawalerskie“, zanedbując swój dom i rodzinę?

Jednym słowem — kończy pani Butt prawdziwe szczęście znaleźć można tylko tam, gdzie jest wzajemna miłość, zaufanie, ofiarność i poświęcenie.“

Z. B.

KARTKI Z ŻYCIA

MARCYSIA — SUBLOKATORZY
I SUBLOKATORKA.

Państwo Marscy przed wojną byli zamężni. On miał dobrą posadę. Ona — co miesiąc regularnie — dostawała swoją rentę posagową. Z trojga dzieci każde już było na swoim. Zdawało się, że starość przejdzie im bez trosk i kłopotów.

Trzymali jedną tylko służącą, gdyż na dwie osoby i cztery nieduże pokoje wystarczała w zupełności. Przy każdej większej robocie — jak pranie, duże porządki — Marska pomagała.

Nie lubiła zmieniać służących. Z natury dobra, łagodna, często zbyt ustępliwa, tolerowała ich wybryki.

Marcysia „nastała“ na rok przed wojną, kiedy jeszcze był dostatek — obiad z deserami — i nie musiano liczyć się z każdym groszem.

W pierwszym roku wojny Marski stracił posadę, a Marska przestała odbierać procenty hipoteczne. Trochę jeszcze oszczędności zostało w zapasie, ale należało możliwie ograniczyć wydatki, żeby starczyło na czas jaknajdłuższy.

Więc skromne, najskromniejsze obiady — zupa, jarzyna, czasami kawałek mięsa. Desery, gorąca wieczerza — wycofane.

Marscy znosili to ze spokojem i rezygnacją, wpatrzni w jutro, które miało przynieść wielkie rzeczy. Ale Marcysia codzień przy rachunku i zarządzeniach na dzień następny fukała:

— Kartoflanka bez śmietany? — Kluski kładzione i nic więcej? — Także...

Ruszenie ramion, wydęcie warg wzdarte i mrużenie pod nosem.

— Przecież my jemy to samo i nie narzekamy. Nawet pan — wiesz przecież, jaki był grymaśny...

Doszło do tego, że Marska powiedziała jej kiedyś:

— Moja Marcysiu, jeżeli nie możesz przyzwyczaić się do naszych nowych warunków, to poszukaj sobie innej służby. Ja ci niczego więcej dać nie mogę ponadto, co sami mamy.

Marcysia przycichła. Jednak — tu nie było najgorzej. Słyszała, że gdzieindziej głód. A zresztą — dużo dziewczyn zostawało bez pracy, bo panie same zabrały się do gotowania, sprzątania, a nawet prania. Takie, co dawniej, aby wystroić się i lecieć na „fajfę“ — panie adwokatowe, doktorowe, inżynierowe. Przecież nawet widzi jedną taką codzień przez okno na pierwszym piętrze. Nie wstydzi się — stoi przy balji, nastawia garnki — sama po węgiel do piwnicy — pomaga jej córka i syn, jak wróca ze szkoły. — A rok temu — goście, szyki, kolacje...

Czas jakiś nie było scen. Odgrażała się niekiedy — już przy Niemczech — że pójdzie do okopów, bo i przyjemnie — towarzystwo — i większy zarobek. Ale jakoś tkwiła w miejscu.

Nastały „ogonki.“ — Czasami od 4 rano z kartkami na trochę mąki, chleba, słoniny.

Jakoś to znosiła i wracała nawet rozweselona, pełna płotek, niezbyt parlamentarnych dowcipów i nieskomplikowanych konceptów.

W trzecim roku wojny położenie stało się nad wyraz ciężkie. Marski próżno szukał posady. Marska zaczęła robić kaftanki, czepeczki, pantofelki dzieciinne na sprzedaż. W zakup materiału włożyła resztkę oszczędności. Ale nie było zbytu. Musiała Marcysia iść na targ i wyprzedać wszystko za byle co.

Niemcy w tym czasie zarekwirowali ich mieszkanie. Dwaj wyżsi urzędnicy cywilni zajęli salon i gabinet. Poprosili przytem o stołowanie ich za dosyć wysoką opłatą, obiecując dostarczanie produktów żywnościowych po najniższych cenach.

Skończyły się ogonki. Marcysia miała wszystko pod ręką.

Niemcy byli zachwyceni polską kuchnią i rozplýwali się w komplementach. Marcysia — bardzo ambitna kucharka — rosła z zadowolenia. Marscy jakoś wyżywiali się przy sublokatorach. Można było czekać.

Przyszedł 11 listopada 1918 r. Czary, dziwy na ulicach Warszawy. Harcerze i harcerki — młodzież nieletnia — rozbrajająca hardych, pruskich żołdaków. Były jakie wyrostek, odpręgający konie pana oficera i prowadzący je na umówione dzień przedtem miejsce.

Oczy wierzyć nie chciały.

Ten policjant, ten żołdak pruski, który wczoraj jeszcze bił po twarzy ciężarną kobietę polską za to, że nie zeszła mu z drogi, — dziś — jagnię posłuszne, zniewolony baranek potulny...

Sen, czy jakiś omam nieprawdopodobny?

Cicho, tajemniczo — przy drzwiach zamkniętych — spakowali lokatorzy Marskich manatki. Zniknęła w pruskich kufrach przytem doskonała kopia Rembrandta — spuścizna rodzinna — i dwa krajobrazy Ziomka i śliczne akwaforty Stankiewiczówny. Cicho, tajemniczo — coś tam niedopłacony — zniknęli, jeden i drugi. Zostało po nich tylko niedopalone cygaro i papierosy. Został dymem i kwasem piwa przesiąknięte ściany. Został przede wszystkim pusty gabinet i salon, z których można było ciągnąć zyski, jak wykazało doświadczenie.

Marski przez stosunki dostał posadę w jednym z pierwszych Ministerstw Rzeczypospolitej Polskiej. Ale jednak było ciężko, bo czekali na spłatę, zaciągniętych rok temu długów, wierzyciele.

Więc znów sublokatorzy, jako jedyny punkt wyjścia.

Tym razem sprowadziła się do nich Polka — Francuzka z rodziny emigrantów.

Dawała lekcje w bardzo bogatych domach, więc mogła dobrze zapłacić. Zajęła salonik i wymówiła sobie korzystanie z gabinetu w razie, gdyby jej wypadło zaprosić parę osób znajomych.

Od pierwszej chwili Marcysia zaczęła robić wstępy.

— Ta... jakaś tam...

Nie mówiła o niej inaczej.

— Proszę cię — odzywaj się po ludzku. Panna Marta Bielska — nie wolno ci tej pani nazywać inaczej.

Wykrzywiła się, zamruczała i nie przestała wydywiać.

Sto razy umyślnie przekreślała nazwisko.

— Bylska — Balska — Bolska, czy jakoś tam...

Nie podobało jej się, że panna Marta musiała mieć wodę gorącą do mycia rano i wieczorem. Że przy obiedzie piła rumianek — zwyczajem Francuzek.

— Także?... Jakieś tam takie ceregiele — jakby jaka hrabina, albo chora w szpitalu...

Oburzało ją zresztą wszystko.

Co wieczór przy rachunku Marska musiała wysłuchiwać:

— Ta kulawa Julja od dochtorki z przeciwnikowi, że nigdzie niema zwyczaju, żeby sublokator był ze stołowaniem. Co najwyższej prześpi się i pójdzie sobie na cały dzień. Ani go widać. A z tą... tutaj... ciągle tylko szykuj, podawaj, nakrywaj w kółko. I żeby nie spóźnić się, bo gwałt — lekcja...

— Mówię ci, nie jazgocz, albo odejdziesz sobie...

Sto razy Marska wymawiała jej miejsce i sto razy zostawała.

Kiedyś już — zdawało się, bardzo poważnie, że odejdziesz.

Było to akurat po odświeżeniu kuchni. Sama wyczyściła ściany, sama na drabinie od stróża wybieliła sufit, zaciągnęła podłogę, pomyła okna i założyła firanki.

Gdy Marska — zniercierpliwiona jakąś sceną — dała jej kartkę zwolnienia, zapowiedziawszy, że to już raz ostatni i że dłużej nie znieśie tych ciągłych awantur, — rzuciła się na łóżko, zaczęła szpazmować.

— To ja dla innej trzy dni charowałam, jak ten pies. Dla innej nawspinałam się po drabinach i utylałam w wapnie i mało ducha nie wyzionęłam... Dla innej — a ty idź sobie precz, jakieś już niepotrzebna. Takie wywdzięczenie. Państwo aby skórę zedrzyć z człowieka. Żadnego wyrozumienia. Lataj bez tchu — jeszcze ci naurągają za jakąś tam francuzicę. Sługa, to jak jakie bydło. Nad każdym się ulitują, tylko nie nad nią...

Podniosła taki gwałt, że zbiegły się kucharki z całej kamienicy i zaczęły radzić, wtórować, dodawać.

Całą noc szlochała. Jednak rano wzięła się do roboty z większą jeszcze furją, niż zawsze.

Została, naturalnie, bo jak ten kot przywykła do miejsca. Pyszniła się, że ze wszystkich sług w całej kamienicy jest najdłużej w jednej i tej samej służbie. Odgrywała rolę senjorki. Z szacunkiem zwracały się do niej o radę i wskazówki kulinarne wszystkie popychadła. Udzielała ich z dumą i namaszczeniem.

* * *

Przyszedł koniec lipca 1920 r. Następowali bolszewicy. Marta Bielska, spakowawszy manatki, wyjechała do rodziny z jakąś obcą misją Szarych Sióstr czy kwadrów.

W domu Marskich, jak wszędzie, zapanaowała gorączka wyczekiwania.

Co będzie?

Nikt nie wierzył w zwycięstwo bolszewików. Każdy nerwami, mózgiem wyczuwał cud.

I stał się nie cud, ale triumf męstwa, dzielności, twardego wysiłku, ognistej brawury bohaterkiego narodu.

Odstąpili bolszewicy. Po dniach nieprawdopodobnego szaleń, radości, wracało wszystko do dawnego, a jednak — innego porządku. Każdy czuł się panem — wolnym obywatelem — na kawałku ziemi, którą zajmował.

Marcysia biegała, jak szalona, znosząc nowiny o niesłychanej odwadze księdza Skorupki. Kupiła sobie nawet kalendarz ścienny z ilustracją bohaterów z pod Radzimina.

— Czy nie widzisz? — Twarz jej jakby wyszlachetniała. Oczy patrzą nie tak drapieżnie, jak dawniej — powiedziała kiedyś Marska do męża.

A on na to;

— Może przestanie się awanturować wreszcie...

Tego dnia — po dłuższej naradzie — zapadło postanowienie wynajęcia znowu salonu, żeby już spłacić resztę długów. no — i uniknąć przymusowej rekwizycji, niezbyt przyjemnej, chociaż już przez swoich...

Wieczorem Marska odezwała się do Marcysi:

— Słuchaj, musimy znowu szukać sublokatora. Zastanów się — jeżeli masz nadal robić awantury, jak tej Francuzce, to lepiej odejdziesz zaraz.

Porwała się z miejsca. Oczy jej zaświeciły po dawnemu drapieżnie i wyzywająco.

— Jak będzie mężczyzna — to jeszcze, choćby i ze stołowaniem. Jak kobieta, to ani myślę... żeby tylko ciągle jakieś tam ceregiele...

Traf zesłał Marskim państwowego dostojnika, który dłuższe lata spędził za granicą.

Miał różne grymasy, Prosił też o wodę gorącą, przegotowaną do mycia i do obiadu — zwyczajem angielskim. Artretyk, nie jadał mięsa — trzeba było przygotowywać mu jarskie potrawy. Pozatem — pamiętać o krajanekach do biura i wieczornych porcykach klusek lub kaszy na mleku.

Marcysia krzątała się, uśmiechnięta, szybko i dokładnie spełniająca każde życzenie.

— Nie siedzi mi na karku — pójdzie sobie do biura — pół dnia go nie widać — to niech tam i ma, co chce.

Mówiła o nim „ten pan“ z uprzejmym wyrazem ust i oczów w odróżnieniu od Marskiego, którego obie — Marska i ona — nazywały „naszym panem.“

Zapanował zupełny spokój i harmonja.

— Bo zawsze przecież co innego mężczyzna, choćby nawet prusak, czy inny heretyk, aniżeli t a k a... j a k a... t a m — zwierzała się przyjaciółkom. al.

Pierwszy kobiecy raid samochodowy we Francji

Paryska L'Illustration zamieszcza opis pierwszego raidu samochodowego, zorganizowanego dla pań przez Automobil-Klub Zachodniej Francji.

Interesujący ten raid był próbą sił kobiecych na polu automobilizmu turystycznego, wyznaczono bowiem dość już duży dystans, bo około 500 km.

Dystans ten z Paryża do la Baule podzielono na dwie części: Paryż - Angers 299 km. w jeden dzień, drugi dzień Angers - la Baule 167 km.

Warunki konkursu następujące: zawodniczki kierują samochodami zupełnie same, mogą mieć na samochodzie towarzystwo, ale wyłącznie kobiece, nikomu nie wolno im pomagać.

Automobil-Klub tak daleko poszedł w ostrożności o całość i bezpieczeństwo zawodniczek, że jako założenie zawodów postawiono nie osiągnięcie jaknajwiększej szybkości, lecz umiejętność dostosowywania się do stałej z góry oznaczonej przeciętnej szybkości jazdy.

Mianowicie droga cała była podzielona na odcinki kończące się punktami kontroli, na których zawodniczki miały z góry zapowiedzieć z jaką szybkością przejadą następnego odcinek. Wyniki zawodów mierzono różnicą jako zachodziła między zamierzonym, a istotnie osiągniętym czasem jazdy podczas przebytego odcinka.

Do raidu zgłosiły się 32 panie. Z tej liczby wyruszyło ich z Paryża 24, wypuszczane jedna po drugiej w minutowych odstępach czasu.

Zawodniczki jechały wszystkie na małych samochodzikach typu torpeda lub o „prowadzeniu wewnętrznym“ siły od 5—10 koni parowych.

Niektóre na samochodach odkrytych były w strojach zupełnie sportowych, okularach i t. p. Inne w zamkniętych samochodach ubrane w zwykłe spacerowe kostiumy. Były panie i panny różnego wieku i zawodów, były nawet dwie panienki, którym w tej okoliczności życiowej towarzyszyły wiernie mamy.

Droga z Paryża prowadziła przez Wersal, Rambouillet, Maintenon, dalej Chartres, gdzie był pierwszy punkt kontroli.

W Mans kończył się drugi odcinek i tam zawodniczki zatrzymały się na śniadanie.

Pierwszy etap drogi, którą miano przebyć w dniu pierwszym był w Angers, gdzie urządzono dłuższy postój na noc.

Wypadków w drodze nie było prawie żadnych. W dwóch samochodach pękły pneumatyki, u jednego karberator przestał prawidłowo działać.

Zawodniczki bez trudności poradziły sobie same we wszystkich tych wypadkach.

Wyniki zawodów liczono oddzielnie za dzień pierwszy, oddzielnie za drugi. Toteż, gdy panie dowiedziały się już, które miejsce zajmują w ogólnej klasyfikacji powstała tem silniejsza rywalizacja.

Dalsza droga prowadziła przez Nantes, Saint Nazaire do la Baule i przeszła równie pomyślnie.

Automobilistki przyjechały cało i w dobrych humorach, wszystkie bez wyjątku dojechały do mety.

Pierwszeństwo w klasyfikacji otrzymała ta z pań, której czas przebytej drogi wykazał najmniejszą różnicę z czasem, w jaki należałoby ją przebyć, jadąc z szybkością zapowiedzianą z góry, w tym wypadku 40 km. na godzinę. Przebyła ona zaledwie 2790 m. mniej, niż powinna przebyć w ciągu całej drogi.

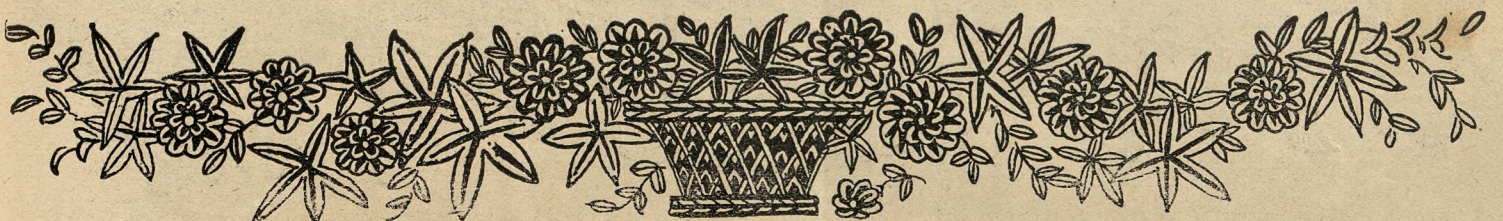
Szybkość największa nie wchodziła w rachubę, ta z pań, która do wszystkich przydrożnych miast wjeżdżała pierwsza, nie trzymając się jednak zapowiedzianej przeciętnej, była ostatnią w klasyfikacji. Inne zawodniczki też naogół zgrzeszyły raczej przyspieszaniem, niż zwalnianiem tempa.

Na tego rodzaju założenie zawodów można się rozmaicie zapatrywać. Raid taki dał w każdym razie dowód, że znalazło się we Francji sporo kobiet, które potrafią zupełnie samodzielnie prowadzić swoje auto i radzić sobie z niem podczas dość długiej bądź co bądź podróży.

Dla prawdziwych sportsmenek ograniczenie szybkości jazdy było napewno przykre i trochę upokarzające, ale trudno to początek, pewnie Automobil-Klub miał swoje powody, dla których nie tak bardzo jeszcze dowierza siłom kobiecym.

A u nas?

I. F.



Z TEATRÓW



TEATR POLSKI.

W głębi duszy każdy Polak jest trochę Bonapartystą. Nawet najzaciętszy republikanin i antimilitarysta nie może oprzeć się urokowi Małego Kaprała, zwłaszcza jeśli wolno mu nie przykładać do jego czynów miary historyka i Polaka, a poprostu podziwiać w nim bohatera, mającego przywilej rzadki i wyjątkowy: nie bać się śmiešności.

Takiego właśnie Napoleona „en pantoufles” pokazał nam W. Sardou w pogodnej komedji „Madame Sans Gêne”, znanej nam z dawnych lat.

Cesarz bohater i zdobywca świata ustępuje w niej miejsca małostkowemu parwenjuszowi, który wyrósłszy z rewolucji, wskrzesił stary świat: trony, tytuły, przywileje, intrygi, ceremonjał dworski... Wszystko, w walce z czem przelano morze krwi. A jednak nawet taki Napoleon, nawet ten brutal i zazdrośnik ma w sobie dziwny czar. Dość spojrzeć na niego (świetna maska p. Stanisławskiego), by uwierzyć w Austerlitz, Jenę, Samosierę... Poprzez śmiešnostki i wady czujemy w nim bohatera, a to nawet w naszych antimilitarystycznych czasach ma niezaprzeczony urok. Kiedy Napoleon godzi się na zostanie na dworze Księżnej Gdańska (skandaliczne jej zachowanie i brak manier budzi powszechne zgorszenie) tylko dlatego, że była wiwanderką Wielkiej Armji, że miała być żoną żołnierza, dzielić z nim trudy wojenne — na sali rozlegają się oklaski. Oklaski zresztą rozlegają się ciągle, a zbiera je głównie pani Przybyłko-Potocka, jakby stworzona do roli panny Kasi Hübscher, późniejszej marszałkowej Francji i Księżnej Gdańska. Karjerę życiową rozpoczęła panna Kasia jako pracznka na przedmieściu Paryża. Że niekrępowała się w doborze wyrazów i ludziom prawdę w oczy mówiła, nazwano ją „Sans Gêne”. W owych czasach każdy żołnierz miał w tornistrze buławę marszałkowską. Narzeczony, a potem mąż panny Kasi, sierżant Lefebvre zdobył ją również. Nadano mu tytuł Księcia Gdańska. Zaszczyty nie przewróciły w głowie pani Kasi, ale też i nie nauczyły jej dobrych manier. Po dawnemu

mówi co jej przyjdzie do głowy i niema pojęcia o wychowaniu.

Dwór się dąsa. Pani Lefebvre jest niemożliwa — nawet wśród świeżo kreowanych diuków i hrabiów. Sam cesarz to uznaje i żąda, żeby Lefebvre się z nią rozwiódł. Ale stary wojak nie zdradzi towarzyski broni, a i pani Kasia nie da sobie wydrzeć męża. Wezwana do cesarza, mówi mu to zuchwale, a że jest „Sans Gêne,” przypomina Napoleonowi dawne czasy, swoją ubogą pralnię, niezapłacony rachunek przez porucznika Bonapartego...

Cesarz jest wzruszony. Pani Kasia brała udział w pochodach, obmywała rany, wymieniono ją w rozkazie dziennym... Więc niech zostanie przy Lefebvre, ale musi się usunąć w zacisze domowe.

Księżna nie oponuje. Nie lubi dworu, ceremonji, intryg. Miała tylko jednego przyjaciela, hr. Neiperga, któremu za rewolucji przypadkiem ocalała życie. Hrabia nie zapomniał o tem. Jest wiernym przyjacielem pani „Sans Gêne.” Wrócił do Francji z Marją Ludwiką, którą kocha od dziecka.

Napoleon jest zazdrośny, każe mu wyjechać. Hrabia pozoruje wyjazd, by w nocy wrócić po ostatnie rozkazy cesarzowej. Przyłapany przez cesarza, który podejrzewa go o romans z Marją Ludwiką, zostaje skazany na śmierć. Wyrok ma być wykonany nad ranem. Ale na szczęście obecna przy tem jest „Sans Gêne”. Spryt jej i odwaga ocalają przyjaciela i oczyszczają cesarzową z zarzutu zdrady. Pomaga jej w tem p. Fouché, eks minister policji, który przy tej sposobności odzyskuje dawny urząd.

Panią „Sans Gêne” z wdziękiem i temperamentem zagrała p. Przybyłko-Potocka. W jej interpretacji pani Kasia była typowym dzieckiem ludu; prosta, wesoła, odważna, pełna swoistej godności, cudownie niezgrabna w roli „damy dworu.”

Pan Samborski już jako sierżant Lefebvre, budził w nas pewność, że jemu właśnie należy się buława marszałkowska. Tytuł dodał mu godności, nie odbierając dobroci i szlachetności. Napoleon pana Stanisławskiego miał w sobie może za mało z wielkiego cesarza — ale był jakby żywcem wyjęty z ram obrazu — witano go entuzjastycznie.

Pan Gawlikowski stworzył wspaniały typ ministra policji. I my mówimy o prowokacji! Zobaczcie pana Fouché, a zgroza przejmie was na myśl, jak się w jego rękach musiały mnożyć spiski! Zresztą, pan Fouché uważa to za swój obowiązek...

Pan Łuszczewski był wytwornym hr. Neipergiem. Panie: Muclingerowa i Suli-

ma wspaniałemi siostrami cesarza, w których od czasu do czasu budzi się gwałtowna krew korsykańska. Reszta obsady doskonała. Dekoracje pana Frycza prześliczne — i nagradzane oklaskami. Całość wyreżyserowana bardzo starannie. Z. P.

Z RUCHU
WYDAWNICZEGO

Ostatnie wydawnictwa „Biblioteki Polskiej” obejmują dzieła następujące:

Dr. Tadeusz Sinko „Hellenizm Słowackiego,” F. Wojciechowski „Szkice historyczne XI w.” (wydanie wznowione), J. Kleiner „Studja z zakresu literatury i filozofji.”

Dalsze tomiki, wydawanej dla użytku uczącej się młodzieży „Wielkiej Biblioteki” zawierają: Ajschylosa „Oresteję,” Czajkowskiego „Stefan Czarniecki,” Górnickiego „Dworzanin,” Lenartowicza „Branka,” „Bitwa racławicka” i „Zachwycenie,” Korzeniowskiego „Tadeusz Bezimienny,” Ibsena „Wróg ludu,” Łozińskiego „Madonna Busowiska,” Moliera „Mieszczanin szlachcicem,” Felińskiego „Barbara Radziwiłłówna,” Mickiewicza „Konrad Wallenrod,” Skałkowskiego „Bitwa pod Raszynem” i „Śmierć Ks. Józefa,” Mościckiego „Rzeź Pragi,” Kubali „Odzyskanie Warszawy” i t. d.

* * *

W nakładzie Gebethnera i Wolffa ukazały się dzieła treści następującej: duży tom utworów Zygmunta Bartkiewicza p. t. „Polityka w lesie,” zawierający wybór nowel tego wysoce utalentowanego i oryginalnego autora.

„Flirt z Melpomeną — Wieczór piąty” Boya — Żeleńskiego zawiera siedemdziesiąt kilka feljetonów i artykułów, poświęconych teatrowi naszemu w sezonie 1924-25.

Znany publicysta Janusz Makarczyk skreślił szkice z podróży p. t. „Przez Palestynę i Syryę,” w których poświęca uwagę głównie Palestynie, jako żydowskiemu „domowi narodowemu.”

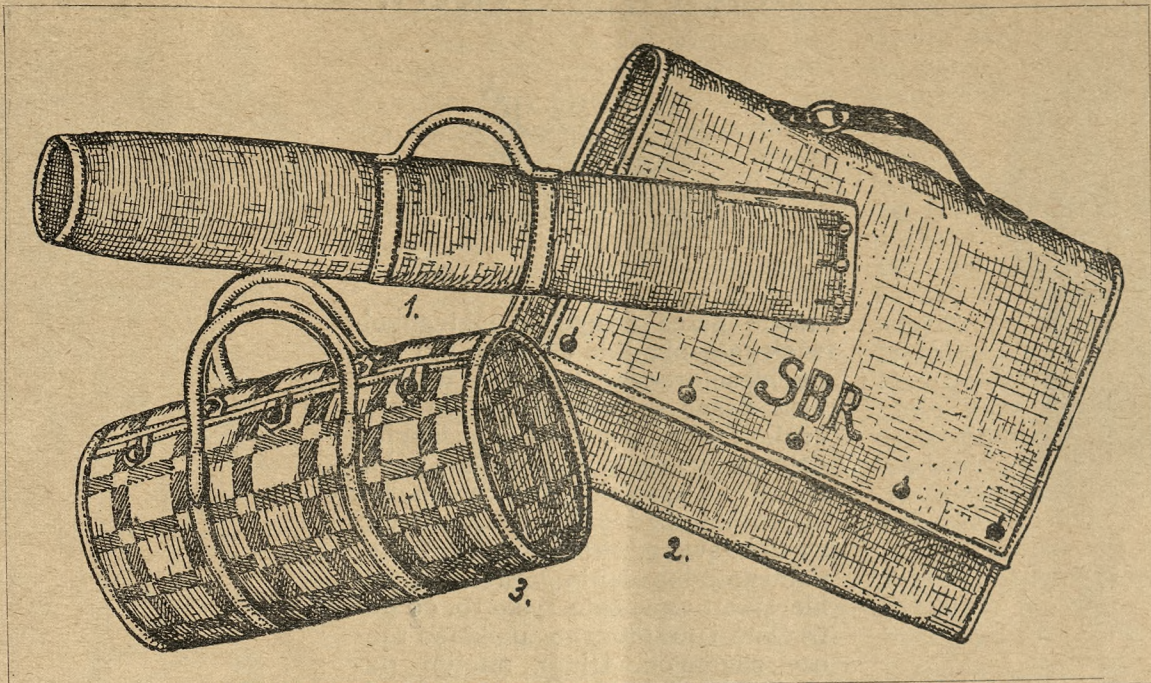
Jedno z arcydzieł literatury powieściowej „Emancypantki” Bolesława Prusa (Aleksandra Głowackiego) ukazało się świeżo w nowym, czwartym wydaniu.

Tomy XIX i XX „Pism” Władysława St. Reymonta zawierają kilkanaście utworów nowelistycznych znakomitego pisarza, przy czem tom p. t. „Na krawędzi” wychodzi w wydaniu drugim, powiększonym. Wydane do tej pory dwadzieścia tomów obejmuje całość dotychczasowego dorobku literackiego autora „Chłopów.”



PRZYBORY PODRÓŻNE

Małym kosztem przy troszce zręczności zrobić sobie można konieczne do podróży przybory, jak pochwę na parasole, torbę i worek na kołdry — jaśki i różne konieczne w razie dłuższego za domem pobytu przedmioty. Na pochwę do parasoli (rys. 1) — trzeba przy

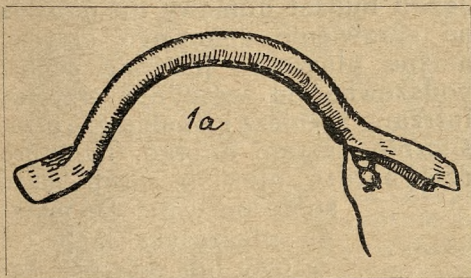


złożonego w kilkoro wystębnowanego i za pomocą kółek metalowych połączonego z patkami wystębnowanymi i przyszytymi do worka, jak (rys. 2b) wskazuje. Pas na rączkę powinien być 3 c. szeroki a 18 cm. długi.

Torebka podróżna

robi się z materiału bawełnianego gładkiego lub w kratę, podbitego grubym płótnem. Składa się z 2-ch okrągłych boków o 22 c. średnicy i wierzchu wymiaru 70 c. na 42 c., rączki przygotowuje się za pomocą grubego sznurka, obszy-

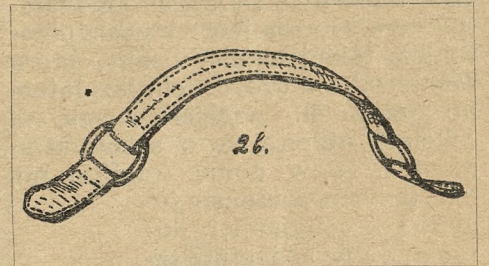
tego pasem materiału lub skóry — na okrętkę zakończonego ścięciem spiczastym, jak patki. Takimi samymi gładkimi pasami nastębnowywa się torbę z 2-ch stron środka — do nich przystębnowywa się rączki. Do założonych brzegów przyszywa się mijanego patki z materiału zrobione, jak na (rys. 3a). Guziki metalowe przyszywa się na przemian z patkami. Okrągłe boki zaszywa się z wierzchem, przykrywając szew taśmą złożoną na pół i przyszytą wierzchem.



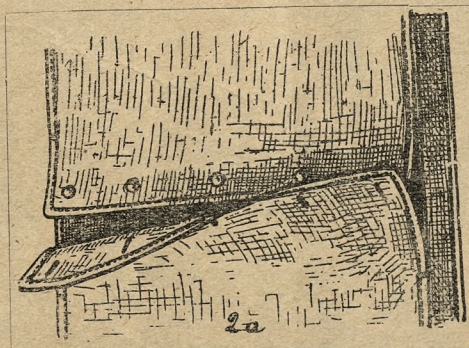
od siebie 2 pasy z taśmy lub ze skóry odpowiedniego koloru. Otwór niedoszytego brzegu otacza się paskiem 2 c. szerokim ze skóry, przystębnowanej na maszynie — i przyszywa się u góry 3 guziki metalowe od wewnątrz, robiąc w zewnętrznej stronie odpowiednie dziurki, na które zapina się pochwę. Z kawałka grubego sznurka obszytego w ręku wierzchem skórą (rys. 1a) robi się rączkę, której końce spłaszczone przystębnowywa się do pochwy w miejscach naszytych

Worek na kołdry (rys. 2) robi się jak dużą koperkę, również z szarego płótna, chowa się w niego niezbędne w podróży rzeczy — używane w drodze, jako poduszkę do siedzenia, lub pod nogi.

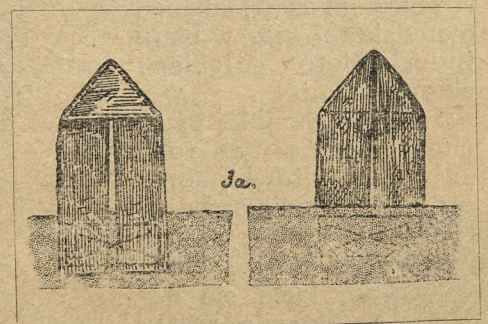
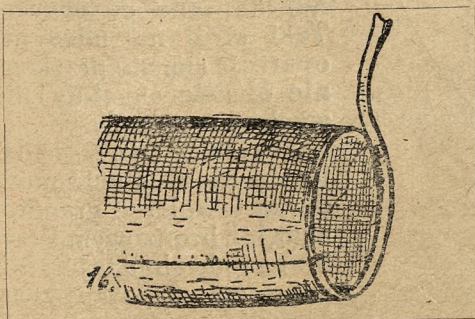
Pas płótna tworzący wierzch worka 50 c. szeroki na 1 m. 18 c. długości wykończony jest w tonach odpowiednich grubą bawełną — ścięciem pocztowym. Z brzegu ma 5 dziurek, a węższe końce na 10 c. wysokości z każdej strony — obwiedzione, przystębnowaną mocną taśmą 2 i pół c. szeroką — 2 mieszki 9 c. szerokie, 40 c. długie wszyte są z każdej strony — i umocowane taśmą przystębnowaną na pół złożoną (rys. 2a). Trzeba starannie wykończyć brzeg mieszka, znajdujący się pod brzegiem załamanej



strony, tworzącej otwór koperty. Guziki do zapięcia metalowe, jak u pochwy na parasole i rączka wykonana jak i poprzednia — wykończają ten worek. Można też zrobić rączkę z tego samego materiału,



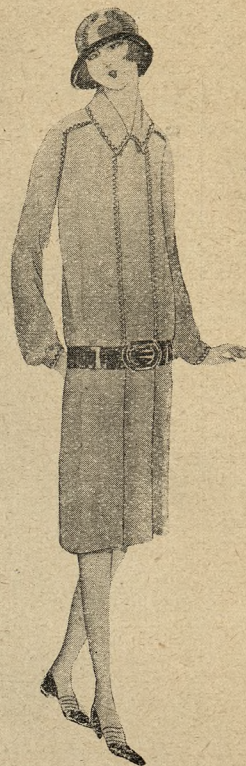
strony, tworzącej otwór koperty. Guziki do zapięcia metalowe, jak u pochwy na parasole i rączka wykonana jak i poprzednia — wykończają ten worek. Można też zrobić rączkę z tego samego materiału,



DLA PODLOTKÓW



rys. 1.



rys. 2.

Wiek słusznie, czy niesłusznie nazwany niewdzięcznym. Niesłusznie moim zdaniem, gdyż smukły wysportowany podłotek jest zwykle zjawiskiem niezmiernie miłym i estetycznym. Gorsza jest sprawa z ubieraniem takiej młodej osoby, która rośnie jak na drożdżach, łązi latem po drzewach, przeciera suknię na łokciach, oblewa się w szkole atramentem, a w domu konfiturami, i ma przytem pretensje tualetowe conajmniej dorosłej osoby. Niektóre takie młode tyranki potrafią tak steroryzować otoczenie, że pozwala im się wybierać najnieodpowiedniejsze kroje i barwy, i czternasto, piętnastoletnie osóbkę paradują uszczęśliwione w strojach, nadających się na scenę dla trzydziestoletnich aktorek i wyglądają w tem „comme des chiens savants“.

Bo podłotek wystrojony w brokaty i ciężkie jedwabie wygląda niemal równie komicznie, jak jego mamusia spowita w białe tiule, spięte gołębiemi skrzydełkami.

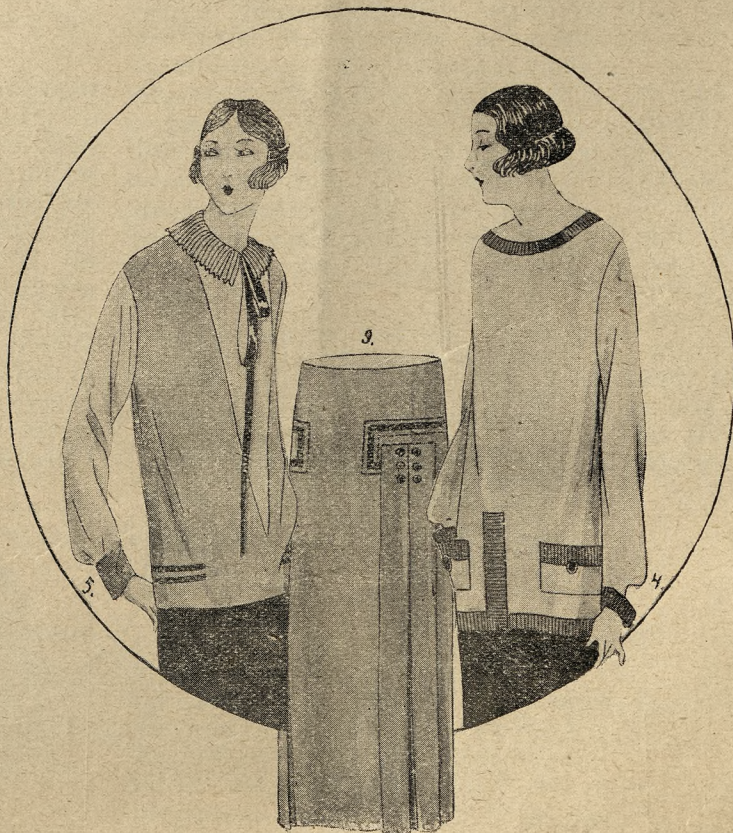
Trudność z jaką przychodzi nam w tym roku zdobyć gotówki, oraz ogólna tendencja oszczędnościowa, która stała się już dobrze pojętą akcją społeczną, każą się do-
brze i gruntownie zasta-

nowić przed nabyciem jakiegokolwiek gałganka. Ale dziewczynki rosną, zeszlóroczne sukienki wytarte i za ciasne są niemal nie do włożenia. Trudno pozwolić dziecku chodzić na pensję w mundurku, pękającym na szwach i świecącym jak lustro na siedzeniu. Trzeba więc, westchnąwszy, zabrać się do racjonalnego odnowienia garderoby, wybierając oczywiście tylko to, co potrzebne i praktyczne, unikając rzeczy zbędnych. Ubiór młodej panienki powinna cechować jaknajwiększa prostota, oczywiście, prostota elegancka, powiedzenie, że młodość jest największą ozdobą, jakkolwiek oklepane, nie jest przez to mylne.

Najpraktyczniejszym ubiorem na ulicę jest płaszczyk (Nr. 1) z covercoat'u lub gabardyny w nieopatrujących się i niebrudzących odcieniach brunatno-szarych. Skrajany w linjach prostych taki płaszczyk nie wyjdzie przez kilka lat z mody, zwłaszcza jeżeli przewidująca krawcowa nie zapomniła zaopatrzyć go w szeroki obrębek (panienka

rośnie) i zapasy w szwach (panienka się rozrasta). Taki płaszczyk może z powodzeniem służyć od wczesnej jesieni do późnej wiosny. Jeżeli budżet domowy nie pozwala na sprawienie zimowego okrycia, można płaszczyk jesienny podbić podszewką na watinie, przypiąć futrzany kołnierz i mankiety, a prześlicznie zastąpi futerko, na które dziś bardzo niewiele osób może sobie pozwolić. Do takiego płaszczyka mały ceratowy lub skórzany kapelusik, nie obawiający się wilgoci jesiennych poranków. Modne i niedrogie są włóczkowe berety, z pod których tak wdzięcznie wyglądają jasne loki i rumiane twarzyczki. Sportowy pantofel na niskim, angielskim obcasie, albo wysoki sznurowany bucik. Pończoszki z ładnego fil d'ecosse'u nie przesadnie cienkie, lub tak obecnie modne i ciepłe — wełniane, konieczne na ulicę ciemne, dobrane do obuwia. Taki strój na ulicę nie opatruje się, nie przykrzy, nie obawia się słońca i nie wychodzi z mody.

Sukienka (Nr. 2) nadaje się na zrobienie mundurka w kolorze granatowym lub brązowym. Przybrana jedwabną taśmą lub sutaszem z pąsowym, zam-szowym paskiem i białym





rys 3.

rys 6.

kołnierzykiem może służyć na wizyty w rodzinie, lub pójście wieczorem do teatru. Sukienka (Nr. 3) może również służyć za mundurek zrobiona w kolorach przepisowych; z materiału pepita lub w dużą szkocką kratę stanowi wdzięczny ubiór domowy lub wizytowy. Lakierowany pasek i krawacik szkocki przy sukni gładkiej, lub jednokolorowy przy kraciatej. Spódniczka rozszerzona w dole nie krępuje swobody ruchów. Praktycznie jest zrobić oddzielną bluzę wkładaną na spódniczkę przyszytą do batystowego staniczka, w ten sposób zyskuje się oddzielną ciemną spódniczkę, którą można nosić do lekkich bluzek. Nr. 4. pokazuje taką bluzeczkę z jasnego crêpe de chine'u lub popeliny przybraną plisami z ciemnego jedwabiu.

Na obrazku Nr. 5. mamy kamizelkę z sukna lub wełnianego trykotu, która przybiera i czyni cieplejszą letnią bluzkę nieraz za ciasną i przykrótką. Na zrobienie takiej kamizelki można użyć części mniej zniszczone zeszłorocznej wełnianej sukienki.

Przy pomysłowości i dobrych chęciach można mieć bardzo ładny rezultat.

Dla panią dorastającej i zaczynającej bywać oprócz eleganckiego mundurka potrzebna jest sukienka teatralno wizytowa.

Rysunek (Nr. 6) przedstawia ładną sukienkę z sukna lub welwetu. Prząd wstawiony z deseniowego jedwabiu, lub haftowanej białej

georgette'y, kloszowa tunika i mankiety oszyte futerkiem. Ładna byłaby kombinacja sukienki foxtrott z kamizelką słomkową w foxtrott desęń; lub też sukienka stalowa, kamizelka z szafirowego haftu na białym tle. Przy granatowej sukience na białej kamizelce haft ponsowy lub szmaragdowy, zresztą można to urozmaicać do nieskończoności. Do takiej sukienki kapelusik aksamitny, ciemny, nawet czarny, bo taki pasuje do wszystkich innych sukienek, odwinięty z przodu lub boku. Elegancko wyglądają czarne lakierki, ale jeżeli nie można sobie na nie pozwolić, ciemny sportowy pantofelek przy ciemnej sukience nie razi.

Trudno, nawet w tak ciężkich, jak obecnie czasach, odmówić dziewczynom zdrowej i miłej rozrywki potańczenia od czasu do czasu. Imieniny, święta, urządzane na pensji tańczące wieczorki dostarczają do tego okazji poddostatkiem. Sukienka do tańca nie może być ciężka wełniana, ani mieć długich rękawów, byłoby to niewygodne i niehigieniczne. Nie idzie zatem bynajmniej, aby zaraz sprawić młodym osobom wspaniałe balowe tualety. Crêpe de chine, jedwabny muślin, popelina, lub nawet ładnie układający się krepon bawełniany, nadają się do zrobienia takiej sukienki. Krój jak najprostszy Rysunek Nr. 7 przedstawia sukienkę z kolorowej tafty lub popeliny, przybraną riuśzami marszczonemi z tego samego materiału. Jeszcze ładniejsza jest sukienka Nr. 8. Kloszowe, wycięte w zęby, falbany przypominają kieli chy wiosennych kwiatów i prześlicznie wyglądają w tańcu. Przypięty na ramieniu pęk wstążek lub aksamitek o parę tonów od sukni ciemniejszych, jest również pomysłem bardzo szczęśliwym. Najładniej oczywiście wyglądałaby taka sukienka, zrobiona z crêpe de chine'u lub crêpe georgette, ale widziałam bardzo ładne krepony bawełniane i co ważniejsza krajowe, które się tak prześlicznie układają, że możnaby z nich śmiało zrobić wieczorową sukienkę. Taka sukienka miałaby ten plus, że możnaby ją nosić na wsi w lecie. Koła na tunice i na ramieniu, można zrobić z marszczzonej, wążutkiej, jedwabnej wstążeczki, wyhaftowane świecącymi koralikami. Panią, która chce ładnie wyglądać i dobrze się bawić, powinna taki haft wykonać sama. Jest niesłychanie łatwy i zabiera niewiele czasu, a obstalowany kosztuje bająskie sumy. Najgustowniejsze kolory są kremowy (biały wieczorem wygląda brudno), wszystkie odcienie różowego, morelowy, niebieski, perwenche, lilas rose, seledynowy i cytrynowy. Bar-

wy zbyt jaskrawe są ordynarne i prędko się opatrują, a każda panią powinna być na to przygotowana, że w tym roku prześlęcały cały karnawał w tej samej sukience. Do jasnych sukienek pończoszki jasno popielate, cieliste lub dobrane do koloru sukni; lakierki, lub białe płócienne pantofelki, które wyglądem nie różnią się prawie od zamszowych. Co do uczesania, to chociaż po paziowski ostrzyżona główka wygląda bardzo wdzięcznie i moda krótkich włosów wydaje się stworzoną wyłącznie dla podlotków, radziłabym paniąkom, które mają długie, gęste, puszyste, słowem ładne, włosy, aby ich nie ucinały. Dwa grube warkoczki, lub też luźno puszczone na ramiona włosy, związane wielką kokardą—to takie piękne, tem cenniejsze, im rzadziej spotykane. I to przecie jedyny wiek, kiedy można pokazać, nie obawiając się śmieszności, że się ma ładne włosy.

Na rysunku Nr. 9 mamy ładną spódniczkę; boczne wachlarzowe fałdy nadają jej niezbędną do swobody ruchów szerokość, w takiej spódniczce można biegać, grać w krokiet i tenisa, nawet jeździć na rowerze. Przybranie z jedwabnej taśmy i guzików.

Mam nadzieję, że powyżej podane pomysły ułatwią niejednej z pań kłopotliwe zadanie garderobowe, i że wdzięczny wygląd ich młodziutkich córeczek będzie zasłużoną nagrodą za ich trudy i stania.

W. L.



rys 7.

rys 8.

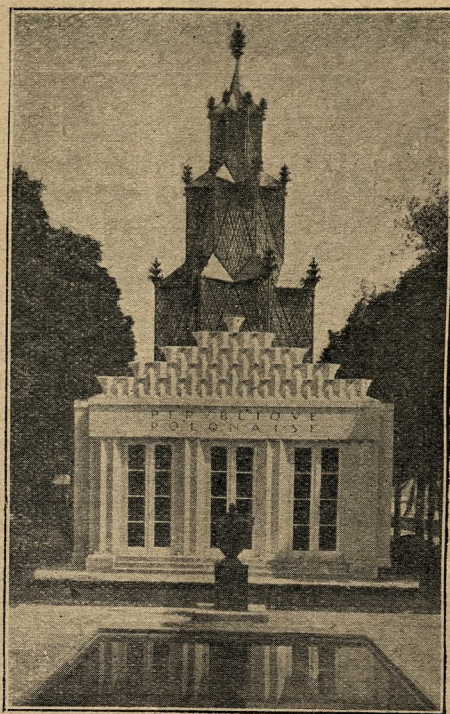
POLSKA TWÓRCZOŚĆ KOBIECA NA WYSTAWIE W PARYŻU

Szereg nazwisk kobiecych figuruje na liście polskich wystawców na Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu, a obok kilku zaledwie znanych i uznanych, widzimy i takie, o których nawet ludzie bardzo interesujący

Tu już najmłodsze adeptki sztuki, początkujące zaledwie, zdają przed nami egzamin. A poprzez zachwyt, czy zdziwienie, poprzez uznanie, czy krytykę, wiję się myśl jedna: jak bogatą jest nasza fantazja twórcza, fantazja twórcza



Tapety—projekt pracowniczek Warsztatów Krakowskich



Pawilon polski na Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu



Szal batikowy, wykonany w Warsztatach Krakowskich

się polską sztuką, nigdy zapewne nie słyszeli.

Drobne kobiece dłonie, wrodzona twórczość dziecinnej niemal główki, dały szereg rzeczy, na które świat cały patrzył i które całemu światu widocznie się podobały, skoro Polska otrzymała około trzydziestu „Grands Prix“.

Obok mebli i kilimów projektowanych przez znanych artystów, a wykonanych w pierwszorzędnych pracowniach, widzimy przepiękne batiki, misterne hafty, zabawki z drzewa, wreszcie całe bogactwo sztuki ludowej, wycinanki, welniaki, wykonane nie przez artystki, mające za sobą studia i doświadczenie, lecz przez istoty młode, nieraz dzieci niemal, obdarzone z

Bożej łaski twórczą fantazją. Najpiękniejsze batiki, najciekawsze okazy zabawkarstwa, pochodzą z Warsztatów Krakowskich, gdzie pod wytrawnym kierunkiem pracują dziewczęta, a nawet dzieci, przeważnie ze sfery rzemieślniczej. Zadziwiające wrażenie robi również dział nauczania, prace i projekty wykonane w szkołach zawodowych i zdobniczych ze wszystkich dzielnic Polski.



Stora w polskim pawilonie, wykonana w pracowni „Ars“

naszego młodego pokolenia. Rzadko rozbudzona i wykorzystana, jeszcze rzadziej skierowana na właściwą drogę, drzemie w każdej niemal dziecięcej duszy. Nie wolno nam tego lekceważyć, nie wolno o tem zapominać! Trzeba w najmłodszym pokoleniu rozbudzać i pielęgnować tę wrodzoną twórczość, a przede wszystkim nie wolno jej paczyć podsuwaniem dziecku wzorów cudzych, które w pewnym kierunku urabiają jego pojęcia i sposób ich wyrażania.

Zerwijmy nareszcie z odwieczną manją szukania obcych wzorów i uznawania ich za najlepsze i obudźmy w sobie świadomość, że stać nas na to, aby kiedyś w tej dziedzinie przodować światu.

NAUKOWA ORGANIZACJA PRACY

Olbrzymie wprost zainteresowanie czytelniczek „Bluszczu” wzbudził na wiosnę artykuł o książce amerykanki Christian Frederic (Tayloryzm u siebie w domu) — książce traktującej o nowych, ułatwionych, uproszczonych, na naukowych zasadach opartych metodach prowadzenia gospodarstwa domowego. Książka ta, już przetłumaczona na język polski przez przewodniczącą Ziemianek p. Grzybowską, nie może chwilowo być wydana, dla braku autoryzacji, natomiast wskazówki i zasady w niej zawarte mogą szersze koła wykorzystać, robiąc próby stosowania ich do naszych warunków. W Czechach już pracowała nad rozpowszechnieniem tych zasad amerykanka Lilian Gilbert i wypracowała cały program zastosowania ich do warunków tamtejszych, opierając się głównie na dokładnym przestudjowaniu istniejących warunków miejscowych, ich brakach, a co zatem idzie na przystosowanie tych inowacyj, które się dadzą praktycznie i bez zbyt gwałtownych przewrotów wprowadzić. We Francji w dzień 14 marca 1925 r. powstała pod wpływem książki Christian Frederic Kobięca Liga Organizacji Gospodarczej, (Ligue de l'Organisation Ménagère), do maja liczyła ona już przeszło 100 członkiń, cieszy się u silnym poparciem prasy i rozwija jaknajpomyślniej. Ma ona swój organ specjalny „Mon chez soi”, co się zupełnie dobrze daje przetłumaczyć „Moje u siebie” i który to miesięcznik, niesłychanie dostępny w cenie (7 franków, obecnie około 2 złotych) jest poświęcony szerzeniu zasad tayloryzmu, praktycznych wiadomości, ułatwień gospodarczych pomiędzy czytelniczkami. Program działalności francuskiej Ligi Organizacji Gospodarczej jest olbrzymi, statut jej przewiduje wszelkie sposoby szerzenia wiadomości o ułatwianiu i organizacji zajęć domowych, popierania badań naukowych w tym kierunku, rozpowszechniania racjonalnej nauki gospodarstwa w szkołach i poza nimi, urządzania konferencji, odczytów, zwoływania zjazdów, kongresów, pokazów i wystaw, wydawnictwo książek, czasopism, broszur, wyświetlanie naukowych filmów, zwiększanie komfortu ognisk domowych, polepszenia i ułatwienia warunków pracy gospodyń domu i w ogólności kobiet, podniesienie poziomu życia rodzinnego we wszystkich klasach społeczeństwa.

Liga ma zamiar swą działalnością objąć całą Francję i ma się dzielić na sekcje departamentalne, w skład których wchodzić poszczególne koła lokalne. Wszystkie sekcje departamentalne mają swoje przedstawicielki w Zarządzie Centralnym, — Radzie Narodowej. Składka roczna 5 franków (około półtora złotego) umożliwia najbiedniejszym nawet gospodyniom zostanie członkiem stowarzyszenia i korzystanie z udogodnień, jakie ono daje. — Może się nadto rozpisalam o tej francuskiej lidze, wątpię poważnie abyśmy narazie coś podobnego stworzyć mogły w Polsce, mogli raczej niż mogły, gdyż Stowarzyszenie Ziemianek pierwsze kroki w tym kierunku czyni w ścisłym kontakcie i porozumieniu z Naukową Organizacją Pracy naszych polskich inżynierów. Ci panowie mają oczywiście zupełnie męski rozmach i od razu mowa była o wysłaniu stu młodych kobiet na naukę Tayloryzmu do Ameryki, — niestety smutna rzeczywistość wykazała, że na to niema wcale, ale to wcale pieniędzy. Cóż więc robić dalej, — otwierać jakieś kursy — nie mamy instruktorek, — urządzić odczyty — brak nam prelegentek, pozostaje nam jedno tylko — rozpocząć pracę od samych podstaw. Wzory amerykańskie i francuskie mamy, musimy zacząć robić według nich próby, stosując wszelkie inowacje do naszych miejscowych warunków.

Robiąc te próby, nauczymy się same, a potem będziemy mogły się podzielić temi zupełnie praktycznymi wiadomościami z liczniejszymi kołami słuchaczek.

Panie, interesujące się tego rodzaju pracą i zdecydowane szczerze i wytrwale część swego czasu jej poświęcić, są proszone o zgłaszanie się do Redakcji „Bluszczu” tel. 239-40 i do Stowarzyszenia Ziemianek tel. 82-03. W listopadzie jest projektowane zaczęcie pracy. W oczekiwaniu praktycznych rezultatów stosowania Tayloryzmu w gospodarstwie domowym, mam zamiar w następnych paru pogadankach, zaznajomić czytelniczki „Bluszczu” z głównymi zasadami książki Christian Frederic.

Pani Elżbieta,



BOLAĆZKI

Lato ubiegłe przyniosło nam poważny dorobek!

Utrudniony wyjazd z kraju rozproszył liczne rzesze, żadne wyczasów, po brzegu morskim, górach, dolinach i lasach ziemi ojczystej. Dorobek, jaki stąd wynika, dzieli się na dodatni i ujemny.

Chcąc w imię dobra przyszłości zwrócić uwagę szerokiego ogółu kobiet na rozległy teren pracy, jaki się przed nimi w dziedzinie specjalnie podanej i odpowiedniej otwiera, za temat biorę ów dorobek negatywny, który każda z nas, bezwzględnie, przywiozła ze sobą w całokształcie wspomnień letnich.

Niema chyba osoby, prócz skautów i drużyn akademickich, spędzających lato w obozach, która nie odczułaby dotkliwie przykrości wypływających z zupełnego braku organizacji, jakim odznaczają się nasze letniska i kąpieliska.

Kto zna miejscowości zagraniczne, wie, jaką dużą dozę dobrobytu, osiągnąć można za stosunkowo niewielkie pieniądze, nie mówiąc już o komforcie, jaki u nas w dziedzinie hotelarstwa jest rzeczą nieznaną. Tam jednak, wprost przeciwnie niż u nas, interes pensjonatu, czy hotelu, chodzi zawsze w parze z dbałością o wygodę i potrzeby klientów; jest to być może, zrozumiałym wynikiem racjonalnego unormowania stosunku podaży do popytu. U nas jest wprost przeciwnie. Musimy brać wszystko co nam dają, z dobrodziejstwem inwentarza, bo... niema wyboru, a brak wszelkiej konkurencji jest terenem, na którym szybko i sprawnie rozwija się zuchwalstwo i lekceważenie względem tych, którzy zdani są na łaskę i niełaskę.

W dobie obecnej, kiedy potrzeba twórczości w odrodzonej Polsce jest jedną z najjaskrawszych, kiedy daje się słyszeć narzekanie na brak ludzi, ludzi odpowiedzialnych, i fachowo wykształconych i to we wszystkich dziedzinach równoznacznie, a w dodatku kiedy doba ta spotyka się z erą wejścia na arenę życiową nowego typu kobiety, typu, w dodatkiem tego słowa znaczeniu, powojennego, dziedzinie sanacji stosunków w uzdrowiskach i kąpieliskach naszych, jest placówką do objęcia i to placówką, której zaniedbywać nie wolno.

Wysiłek jednostek, wobec ogromu pracy jaka jest do podjęcia, odsunąłby konkretne wyniki, ad calendas graecas, wysiłek jednostek zrzeszonych, silnych odpowiednim kapitałem i poparciem miarodajnych czynników, byłby jednak w stanie

pchnąć sprawę całą w ciągu lat kilku na tory właściwe, pracując dalej owocnie dla dobra ogółu i korzystnie dla samych siebie.

Możność spędzenia paru tygodni, będącymi w ciągu całego roku jedynym źródłem, z którego czerpać mamy odporność i siłę, w sposób najprzyjemniejszy, najwygodniejszy i możliwie, intensywny, jest kwestją, której ważności nie doceniają, ani jednostki, ani społeczeństwo. Każdy dzień, każda godzina, człowieka, któremu w ciągu długich dwunastu miesięcy zaledwie na cztery tygodnie dozwolono wyprząć się z jarzma, jest klejnotem. Za zmarnowanie odpowiedzialni są ci, których nieudolność lub zła wola przyczyniają się do roztrwonienia cennego skarbu.

Stałe i uporczywe wyrzekanie na fatalne stosunki i dotkliwe braki, bez najmniejszego wysiłku przyczynienia się do ich poprawy dałyby się przyrównać do niezadowolonia ludzi, którzy wśród chaosu nowo objętego mieszkania, narzekają sobie płacziwie, a zasiadłszy na kufrach i pakach, miast zabrać się do pracy i w ciągu dni kilku niewygodny chaos zamienić w ład i porządek, czekają jakiejś pomocy z zewnątrz, która nie nadchodzi.

Jeżeli chcemy korzystać, musimy dawać, a nic racjonalniejszego nad podjęcie pracy tam, gdzie chodzi o urządzenie i podniesienie naszego kraju.

Kierując się dewizą: „W jedności siła“, rzucam myśl zapoczątkowania zrzeszenia kobiecego, które jednocząc kapitały, ujęłoby w swe ręce pensjonaty, hotele i jadalnie w letniskach, uzdrowiskach i kąpieliskach.

Jako warunek najważniejszy i nieodzowny, traktowanie sprawy w sposób kulturalny, uczciwy, a nade wszystko fachowy.

Trudny moment gospodarczy, w jakim znajdujemy się dzisiaj, nie pozwala sprawy ujmować zbyt szeroko, kapitał rzadki dziś i cenny nie pozwoli rozwinąć od razu skrzydeł do wysokiego lotu, jednak rozpoczynając od małego, a pracując intensywnie i wydajnie, łatwo imprezę taką rozwinąć, budząc zain-

teresowanie w licznych kołach i zdobywając sobie poparcie i pomoc społeczeństwa.

Na pierwszy plan wysuwają się jadalnie. Brak smacznego, zdrowego i estetycznie podanego jedzenia jest dotkliwą bolączką całego naszego wybrzeża. Dostyc powiedzieć, że kule armatnie o szumnym mianie „pączków“, dla strawienia których trzeba odbyć conajmniej kilometrowy spacer, są epoką w życiu gości kąpielowych, a pełna inicjatywy osoba, która smaży i wydaje takowe, wraz z szarą polewką, czyli kawą i mętną herbatą, w jednym marnym pokoiku, jako owoc pracy swej zbiera możność spędzenia lata nad morzem, wywołując jeszcze niemały dorobek materialny. Żywiąc się strawą miejscową, dochodzi się do stanu, w którym myśl o świeżo ugotowanych i porządnie podanych kartoflach, lub o zwyczajnym talerzu klusek krajanych, staje się dla wyobraźni ludzkiej, oazą gastronomicznych rozkoszy. W każdej takiej miejscowości jadalnia czysta, estetycznie urządzona, ze starannie nakrytymi stolikami, miłą i grzeczną obsługą i spisem potraw niewyszukanych, lecz urozmaiconych i zdrowo, a smacznie przyrządzonych, liczyć może nie tylko na przetrwanie, lecz na duże obroty. Zaczynać się winno dzień wydawaniem śniadań, a po godzinach obiadowych, aż do kolacji, podwieczorków, względnie lodów, kawy mrożonej, lub magraganu, czekolady, ciastek na miejscu pieczonych, zimnego mleka kwaśnego, kefiru etc.

Stworzenie takiej placówki, niezależniłoby wiele osób od źle i kosztownie prowadzonych pensjonatów, a kobietom, wyjeżdżającym z rodziną, zdjęłoby z bark wielki ciężar prowadzenia prowizorycznego gospodarstwa, które nie tylko nie pozwala im odpocząć, ale zatrudnia cały czas pobytu, utrudzając nad miarę.

Pensjonaty specjalnie dla osób z dziećmi przyjeżdżających, uwzględniające potrzeby tych ostatnich, dbające o rodzaj i jakość podawanego im pożywienia, o ich wygody i higienę, wreszcie, wszędzie bez wyjątku, pensjonaty od najmniejszych i najskromniejszych, do wy-

kwintnych i kosztownych, będą witane z radosną gotowością.

Pensjonat taki, zakładany przez Zrzeszenie, musi być pod każdym względem bez zarzutu. Czysty i estetyczny, dobrze oświetlony, z pokojami umeblowanymi wygodnie i dostatecznie, z łózkami, dającymi potrzebny wypoczynek, zasłaniami starannie i czysto, z porządnymi umywalkami, łazienką, ubikacjami, ze służbą wyszkoloną i uprzejmą, stołem jadalnym codziennie świeżą zieleńią, lub kwiatami przybranym, zależnie od warunków miejscowych, z ukwieconą werendą, miłym i jasnym pokojem, przeznaczonym do zebrań towarzyskich, przesiadywania w dni słotne i zimne, wreszcie z pralnią i prasownią, ku wygodzie gości prowadzoną. Na cele pensjonatów takich winny stać osoby wysoce kulturalne, fachowe i obdarzone specjalnymi zdolnościami administracyjnymi i towarzyskimi, które pozwolą im stworzyć prawdziwą oazę duchowego i cielesnego wytchnienia, tym, których gościć będą.

Na cele takie nadawałyby się specjalnie budowane domy i wille, planowane odpowiednio i racjonalnie. W dobie dzisiejszej, jest to rzecz prawie nieosiągalna, trzeba by się zatem zadowolnić wynajmowaniem na czas dłuższy możliwie najodpowiedniejszych i przystosowywaniem ich, w miarę możności, do potrzeb chwili.

Projekt ten rzucony, czeka podjęcia. Wśród kobiet dzisiejszych, czynnych, energicznych i samodzielnych, znajdzie się niejedna o wybitnej indywidualności, która imprezę taką opracować i dźwignąć będzie umiała. Do apelu stawi się nas cały legion, gdy pracy i czynu podjąć się będzie trzeba, a z mniejszych i większych udziałów skromną podwalinę pod przyszłe wielkie dzieło kłaść będziemy z radością, dumne, że inicjatywa i praca nasza zbliżą chwilę kiedy nie nakaz, a własna i radosna chęć będzie impulsem spędzania w kraju wywcześnie letnich, tem więcej, że cudne lasy i jeziora Pomorza, góry Małopolski i błękitne fale Bałtyku są w stanie dostarczyć nam wszystkich tych rozkoszy, których szukaliśmy dotąd na obcej ziemi. N...ska.



PRZEDZIMEK OWOCOWIEC

Wśród licznych szkodników zwierzęcych drzew owocowych, jednym z najgroźniejszych, a bardzo rozpowszechnionych, jest przedzimek owocowiec, po łacinie *Cheimatobia Brumata*.

Na szczęście pojawia się on nie we wszystkich okolicach i nie wszystkie sady nawiedza, o ile jednak zdoła przy sprzyjających dla siebie warunkach rozmnożyć się, wówczas jest on szkodnikiem strasznym dla tych sadów, w których nie jest prowadzona z nim systematyczna walka, i nie są corocznie stosowane środki, mające na celu ochronienie drzew od przedzimka.

Przedewszystkiem zapoznajmy się ze szkodnikiem. Jest to ćma, spotykana w dwóch postaciach: przedzimek właściwy, którego motyl ma skrzydła, zabarwione jasno brązowo, a larwa na każdym pierścieniu nosi dużą plamę czerwono-brązową i ma ciemną podwójną linię na grzbiecie. Druga postać nosi nazwę ogłódka, owad jest nieco mniejszy i jaśniejszy, a larwa jasno-zielona z białymi paskami (patrz rycinę). Ponieważ jednak obie te formy mają podobny przebieg życia i jednako- we wyrządzają szkody, więc będziemy nadal mówili o nich pod wspólną nazwą przedzimka.

Charakterystyczną cechą owadu stanowi, że samiec wyglądem nie różni się od innych motyli nocnych, samica zaś, znacznie mniejsza, raczej przypomina robaka, gdyż posiada zaledwo ślady skrzydeł, które uległy zanikowi. Wskutek tego samica nie może fruwać, lecz wlatuje po pniu na drzewa piechotą i składa jajeczka pojedynczo koło pączków na młodych pędach (latoroślach). Podczas wędrówki po pniu nadlatują samce i następuje parzenie się.

Cały ten proces odbywa się w ciepłe, pogodne, jesienne wieczory i noce, więc poczynając od końca października aż do mrozów. Jajeczka zimują na gałęziach, a pod wpływem pierwszych ciepłych promieni słonecznych wylęgają się larwy, zaopatrzone w nogi tylko na trzech pierwszych i dwóch ostatnich pierścieniach. Dzięki takiej budowie przy posuwaniu się naprzód przyciągają koniec tułowia do przodu, a całe ciało wyginają w pałak. Przypomina to mierzenie odległości piędzą, nadano więc tym liszkom nazwę miernic.

Miernice są bardzo żarłoczne, więc chciwie rzucają się na młode listki, i ogałcają drzewa doszczę-

nie. Wskutek tego, gdy się ukażą pączki kwiatowe, następuje zastój w rozwoju drzewa, i po pewnym czasie, zamiast rozwiniętych pączków i liści, widnieją na gałęziach tylko jakby pajęczyną zlepione gałki.

Jeżeli przedzimek pojawi się na wiosnę w niewielkich ilościach, można wówczas przez obcięcie zaatakowanych gałązek i spalenie ich uchronić resztę drzewa od zniszczenia, można też zrosić drzewa zielenią paryską, żeby uchronić pozostałe liście lub zawiązki od objadania przez gąsienice.



Bywa jednak, że prawie wszystkie drzewa w sadzie są napadnięte przez miernicę, a wówczas zwalczanie jest trudne. Przedzimek niszczy wszystkie liście i zawiązki, pozbawia drzewa możliwości wydania owoców, osłabia je, zmuszając do ponownego okrycia się liśćmi. Zniszczenie takie można zauważyć nawet w sadach dość starannie utrzymywanych, w których jednak walka ze szkodnikami drzew nie jest systematycznie prowadzona, albo które sąsiadują z sadami zaniedbanymi.

Zwalczanie samych liszek jest pracą mozolną i zawodną, a nadmiar złego wypadu w porze, kiedy ogrodnik i bez tego ma pełne ręce roboty. Obieranie miernic pojedynczo jest niewykonalne, ponieważ nie trzymają się one groma-

dami, pozostaje więc tylko zraszanie. Zatrutowanie powierzchni liści zielenią paryską czyli szwajnfurką, działa tylko wtedy skutecznie, gdy gąsienice zjedzą część liścia opryskanego, jest to więc raczej środek ochronny, a nie zwalczający szkodnika.

Lepsze wyniki dawało rosenie 2% roztworem lysolu w wodzie. Lysol przenika łatwo przez pajęczynę i wsiąka w szczeliny, pomiędzy płatki rozwijających się pączków, więc dociera tam, gdzie się kryją młode gąsienice. Dzięki gryzącym własnościom lysolu, dotknięte roztworem gąsienice po upływie kilku godzin spadają martwe na ziemię.

Również dobre skutki daje skrapianie drzew roztworem preparatu „Aphimort“, mającego postać mydła. Preparat ten łatwo rozpuszcza się w wodzie, w stosunku 1/2 do 1 kg. na 100 lt. wody, a roztwór jest zabójczy dla liszek.

Wydatną pomoc w walce z przedzimkiem okazuje ptactwo, zwłaszcza, jeżeli będziemy gąsienice strąsali na ziemię. Zaraz pojawiają się wrony, wróble, sikory, które żarłocznie zbierają miernice.

Jednak przy zastosowaniu środków, opisanych wyżej, zawsze pewna ilość gąsienic uniknie śmierci, przejdzie wszystkie stadja rozwoju i da początek nowym pokoleniom. Więc trzeba zapobiegać rozmnażaniu się owadów w innej porze, tembardziej, że natura sama daje nam możliwość skutecznej walki ze szkodnikiem.

Korzystając z tego, że samice, pozbawione skrzydeł, chcąc dostać się na koronę, muszą przejść po pniu, bardzo łatwo je wytepić za pomocą opasek lepkich, zakładanych jesienią na pniu na wysokości 100—120 cm. od ziemi. W drodze do korony samice przylepiają się do tych opasek, albo natrafiwszy na przeszkodę, krążą po dolnej części pnia, i tam można je nawet niszczyć mechanicznie przy świetle latarni. Sposób więc jest łatwy, tylko chodzi o zrobienie praktycznych opasek i nałożenie na nie warstwy lepu, nie zasychającego szybko.

Zaznaczamy zgóry, że smarowanie tłuszczu bezpośrednio na korę drzew jest niedopuszczalne, bowiem wsiąka on w tkanę i wstrzymuje obieg soków. Różne mieszaniny, sprzedawane pod nazwą lepu „Brumata“, zawierają nieraz składniki szkodliwe dla roślin i mogą wywo-

ywać tworzenie się ran, gdy zetkną się z tkanką.

Więc bezpośrednio na pień trzeba nałożyć opaski z nieprzemakającego dla tłuszczów papieru pergaminowego. Sprzedawany w długich rolkach, łatwo można pociąć na rolki, szerokości około 20 cm., za pomocą noża, pobijanego młotkiem. Jeżeli pień posiada znaczne nierówności, to zaleca się wypełnić je uprzednio gliną, żeby opaska ściśle przylegała. Obwiązywanie pni szybko wykonywa trzech ludzi, z których jeden otacza drzewo papierem, urywając pasek w dowolnym miejscu drugi cieniutkiem powróślem lub sznurkiem przytwierdza opaskę u górnego brzegu, trzeci zaś obwiązuje opaskę powróślekiem o 1–2 cm. nad dolnym brzegiem. To ostatnie powróśleko (nie sznurek) doskonale zatrzymuje lep, ściekający niekiedy w dni ciepłe.

Teraz trzeba górną połowę opaski posmarować lepem. Bywają w tym celu używane różnego rodzaju mieszaniny, ale przy wyborze ich trzeba zwracać uwagę, żeby nie zasychały zbyt szybko i żeby nie ściekały łatwo, nawet pod działaniem promieni słonecznych.

Bardzo dobry lep daje mieszanina następująca: do 1 kg. kalafonji, roztopionej na wolnym ogniu, dodaje się 1 kg. oliwy do palenia, albo oleju rycynowego, a po dokładnym wymieszaniu dodaje się 2 kg. smoły drzewnej. Gdy powierzchnia tego smaru po dłuższym czasie zaschnie na opasce, można jej przywrócić lepkość, przecierając łopatką drewnianą. Dobra, gęsta smoła drzewna może być również używana jako lep.

Ogrodnicy miejscy często radzą otaczać pień zwykłym powróślem i smarować je smarowidłem do osi lub smołowcem. Jest to sposób zupełnie wadliwy. Smarowidło przeważnie szybko zasycha, a na słońcu rozpuszcza się i ścieka. Smołowiec jest za mało lepki, żeby do niego miała przylgnąć silna samica przedzimka, a przytem dość szybko tężeje i skorupieje, jak to widać na powierzchni beczek, których ściany są pokryte zupełnie twardą powłoką. Smołowiec, rozsmarowany na powróśle cienkim paskiem, wsiąknie odrazu w słomę, a nasmarowany grubo — nasyci powróślo, następnie korę drzewa i tkanki, na której ona spoczywa.

Powróślo dość grube ze słomy targanej można z pożytkiem zastosować równocześnie z opaską lepłą, zakładając je wyżej, pod nasadą korony drzewa. Jeżeli samicy przedzimka uda się pokonać pierwszą przeszkodę w postaci opaski lepkiej, to będzie ona o tyle wy-

cierpana, że gdy natrafi na drugą zaporę,—zrezygnuje z przedostania się na koronę i złoży jajka w powróśle ze słomy lub siana.

Te same powróśla dopomogą nam do zwalczania drugiego groźnego szkodnika — k w i e c i a k a j a b ł k o w c a (*Anthonomus pomorum*), żuczka małego słonika, który wiosną nakłują pączki kwiatowe i do wnętrza ich składa jajeczka. Żuczki szukają na zimę schronienia pod łuskami lub w szczelinach kory na pniu. Spotykając powróślo na górnej części pnia, chętnie się w niem ukrywają i ulegają zniszczeniu wraz z powróślami, które podczas zimy należy ostrożnie zdejmować z drzew i palić.

W ciągu lata ubiegłego rozmnożyło się bardzo wiele szkodników w sadach. Zakładajmy więc niezwłocznie opaski, żeby zwalczać pasorzyty, nim zaczną ogałacać nasze drzewa z liści.

Stan. Schönfeld.

ZAJĄC

Do najpospolitszej najbardziej rozpowszechnionej u nas zwierzyny należy bezwątpienia zając. Mięso jego smaczne—rozmaicie przyrządzać się dające—spotyka się na niezamierzonych nawet stołach. Zważywszy, że skórki dobrze się sprzedają, skrom spożytkuje w razie potrzeby, jako cenny środek leczniczy, mięso cplaci się sowsicie i nie jest wcale zbytkiem.

Zającom służy nasz klimat, to też spotyka ich się dużo zwłaszcza w okolicach, gdzie na dobrych glebach kwitnie rolnictwo a nie brakuje krzaków i zagaj, bo dużych lasów nie lubią. O ile zima i wiosna były sprzyjające, łatwo się rozmnażają — wyrastając lepiej w ostrzejszym klimacie, dochodzą do 6-cio kilogramowej wagi — futro w zimie nabiera większej wartości, włos staje się puszystym, a im dalej na północ barwa skóry robi się coraz jaśniejszą, aż do zupełnie białej.



Zając, inaczej kotem, lub szarakiem, nazywany—znany jest ze swej lekliwości—przeraża go szelest liści i szum spadających kropli deszczu, mimo to samica nie odznaczająca się wcale zbyt czułości uczuciami macierzyńskimi, dzielnie broni przednimi skokami od napastników małych, które cztery razy do roku, w Marcu, Maju, Lipcu i Wrześniu na świat wydaje, w ilości 2-ch do 4-ch sztuk najwyżej. Wrogów czyhających na jego życie zając ma dużo. Lisy, łasice, zdziczałe koty, jastrzębie a w pierwszych dniach istnienia nawet wrony i sroki—ze wszystkich jednak najniebezpieczniejszym jest człowiek—kłusownik, który wyłapuje na siła z drutu, wnykami zwane—ogromne ilości zajęcy, aby zawióźszy je do miasta, roznosząc po domach sprzedawać łatwo, bo o parę groszy tańiej, niż w sklepie. Proceder ten jest niedozwolony, sądownie nawet karany, bez współdziałania jednak społeczeństwa niemożliwy do wytepienia.

Zające żywią się koniczyną, seradłą, miękkimi słodkimi trawami i oziminą, lubią także bardzo kapustę, w której często znaczne wyrządzają szkody, wrzazie zaś dużych mrozów i śniegów z pod których nie mogą wygrzebać pożywienia, zakradają się do ogrodów, gdzie niszczą całe szkółki drzewek owocowych—obgryzając korę, pączki i gałązki. To też dbający o wszelki swój dobytek gospodarz, przed nastaniem ostrej zimy ustawia i zaopatruje w żywność budki, żłobki i paśniki — aby zawczasu przyzwyczaiła się do nich zwierzyna. Dopóki ciepło zając siedzi w wygrzebanym, podłużnym dołku, kotliną zwanym, do którego przywiązany jest bardzo, wystraszony z niego po niedługim czasie zawsze powraca—spędzając w nim dnie.

Zające podlegają groźnym epidemjom, mogącym w krótkim czasie wytepić je doszczętnie, ponieważ są to przeważnie choroby krwi, mięsa z takich zajęcy nie należy spożywać, jest ono bowiem bardzo szkodliwe. Jedną to więcej przy czyną, aby nie kupować innych jak strzelane, co bardzo łatwo można poznać.

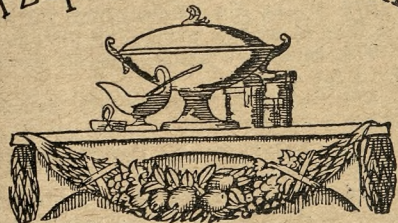
Na zające polować jest dozwolone od 1-go Października. Użytek z zajęcia jest podwójny—ze skórki i z mięsa. Skórki, odpowiednio spreparowane i ufarbowane, służą do przybierania damskich sukien i kostjumów, a także na różne wyroby galanterji futrzanej. Do podszycia okryć, jako bardzo łatwo wycierające się nie są zdatne, chyba dla dzieci i młodych panienek, które

wyrastając szybko, niedłużej jak parę zim, nosić je będą.

Z mięsa, comber należyście wyżyłowany, sparzony octem z korzeniami i naszpikowany słoniną — podaje się nawet na wykwintnych przyjęciach. Wtedy nie rąbie go się po upieczeniu, ale odkroiwszy mięso wzdłuż kości, kraje się na zgrabne ukośne kawałki, układa na niej w całość i podaje z garniturem i z sosem śmietanowym lub groseille w sosjerce. Innych części, jako zwykle twardych i żyłastych nie używa się „od gości”. O ile zając młody na domową potrzebę piecze się całego — bez przodków naturalnie — te zawsze wraz z wątróbką, łebkiem i wszelkimi kawałkami, dusi się z jarzynami i robi z nich pasztet podaje go się albo na gorąco, przekładany miękkimi kawałkami mięsa, lub małemi usmarzonymi ptaszkami, jak kwiczoły, jemioluszki, szpaki, a w ostateczności wróbelki, z sosem maderowym, truflowym lub kaparowym.

Taki pasztet zapieka się w cieście kruchem lub francuskim. Na zimno pasztet, „pain de gibier” z wany, kraje się na plasterki, układa zgrabnie na półmisku; otacza wieńcem z różnokolorowo zabarwionej, w kostkę pokrajanej galaretki i podaje z sosem tatarskim. Jest to bardzo eleganckie danie. Dużo jest jeszcze innych sposobów zużytkowania zająca — robią z mięsa kotlety, bitki, potrawkę; na wsi, gdzie ich jest bardzo dużo, na przodkach gotują żur. Dodam tylko jeszcze, że chcąc mieć prawdziwie smacznego zająca nie trzeba mu żałować wody — trzeba go płukać i myć pod zlewem kilkanaście razy, a następnie moczyć często zmieniając wodę — dopóki zupełnie czysta nie będzie. T. S.

Przepisy gospodarskie



TANI BUDYŃ

Ktokolwiek ma czerstwy placek czy babkę, a nawet jakie pozostałe maślane bułeczki, czynienadziejaną struclę, może sobie bez dużego kłopotu ten budyń sporządzić.

Formę budyniową, lub miedziany rondel z przystającą szczelnie pokrywą, wysmarować grubo masłem i nałożyć pokruszoną bułeczkę,

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka, wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkanie 3.

Telefon 102 77

przekładając rząd każdy dużemi lub małemi rodzenkami, śliwkami świeżemi lub suszonymi, z których wyjęto pestki, kawałkami kwaśnych jabłek, jakimś konfiturami — tem, czem się z tych rzeczy w danej chwili rozporządza. Każdy rząd przesypuje się łyżką cukru.

Gdy forma pełna, bierze się odpowiednią ilość mleka n. p. na 6 osób — trzy pełne szklanki, rozbi ją w tem dwa całe jaja i nalewa tym płynem bułkę, aby zupełnie ją objął.

Na godzinę przed obiadem wstawia się te formy w rondel z wrzącą wodą i gotuje od chwili, gdy woda ponownie zawrze, 30—40 minut. Woda w rondlu powinna dochodzić do połowy formy, nie wyżej. Przed podaniem wyrzuca się budyń na półmisek i podaje z sokiem owocowym lub też polewa roztopionem masłem i oddzielnie podaje cukier utłuczony z cynamonem.

NALEŚNIKI Z KASZĄ HRECZANĄ

Sparzyć wrzątkiem pół kilo hreczanej kaszy, osolic, włożyć w nią łyżkę masła, lub, co lepiej, ćwierć kilo drobno usiekanej, wędzonej słoniny (może być od szynki), wstawić do pieca lub pod blachę, aby się tam wolno usmażyła, tak przygotowana, powinna być zupełnie sypka.

Ugotować ćwierć funta (10 deka) suszonych grzybów, pokrajać w drobne paski, podsmażyć na maśle lub szmalcu trzy duże, pokrajane w plastry cebule, grzyby i cebule wraz ze smakiem z grzybów, którego nie powinno być więcej nad półtorej szklanki, zmieszać z kaszą.

Z dwóch jaj, mąki i wody upiec 15 — 16 naleśników. Duży, płaski rondel wysmarować masłem i wysypać bułeczką, ułożyć naleśniki tak, aby dno i boki były pokryte, położyć warstwę kaszy z grzybami, naleśnik, znowu kaszę, powtarzając to, dokąd rondel się nie napelni.

Ostatnia warstwa powinna być z naleśników, położyć na to kilka drobnych kawałeczków masła i wstawić na pół godziny pod blachę. Kiedy się naleśniki dobrze zrumienią, wyrzucić na półmisek i podawać.

Dobre danie na kolację, może być też podane po zupie zamiast pasztetu. Kto lubi sosy, można grzyby ugotować na dłuższym smaku, parę szklanek smaku i parę młodych grzybków zostawić na sos. Zasmażyć łyżkę masła, rozprowadzić smakiem grzybowym, wrzucić pokrajanych w paski grzybków, zagotować, włożyć parę łyżek kwaśnej śmietany i przed samem już wydaniem kawałek śmietankowego masła wielkości orzecha włoskiego, wylać do sosjerki i podać z babką.

ANGIELSKA POTRAWKA Z ZAJĄCĄ

Przodki zajęcze porąbać na zgrabne kawałki, myjąc je tylko zlekką, lecz nie mocząc długo, dodać do nich płuca, wątrobę, serce i nerki, jako też skrzepłą krew, znajdującą się wewnątrz zająca.

Jakąś formę kamienną ogniotrwałą, lub szczelnie zamykany pokrywą rondel, wyłożyć plastrami słoniny, na to ułożyć kawałek zająca, włożyć kilka ziarn pieprzu i ziela, parę goździków, kawałek utartej gałki muskatełowej, lub parę listków kwiatu, parę listków laurowych, osolic, zalać czerwonym, lekkim winem, aby objęło (w braku wina — mocnym, dobrym rosółem, w takim razie wlać łyżkę mocnego octu). Zakryć pokrywą, pokrywę osmarować ciastem, aby para nie wychodziła i wstawić w piec lub pod blachę na trzy godziny. Można też dusić na blasze, należy jednak wtedy często potrząsać garnkiem, aby do dna nie przyszło.

Podaje się w tym samym naczyniu, do tego może być ugotowany na svpko ryż, lub grube grzanki z bułki, zlekką na maśle osmarzone.

PASZTET NA PARZE (z zająca)

Ponieważ nie wszyscy mają blachy i piecyki przy nich, a wiele osób jest zmuszonych gotować na maszynkach, podaję tu przepis pasztetu, który zajmie wprawdzie sporo czasu, ale da się na maszynce przygotować.

Przodki z dwóch zajęcy (można je oddzielnie nabyć u rzeźników, sprzedających gotowe, szpikowane combry) porąbać na kawałki i uduścić w rondlu, z połową ich wagi,

młodej słoniny lub boczku, sześciu cebulami, pieprzem, zielem, listkiem, kilku goździkami, osolić—od czasu do czasu podlać wodą, aby się nie przypaliło.

Gdy mięso zupełnie od kości odstanie, przepuścić przez maszynkę wraz z cebulą, korzeniami i sosem (uważać, aby zdjąć skórę ze słoniny, która po przetarciu pozostaje twardą), i dwoma czy trzema bułeczkami rozmoczonymi w wodzie lub mleku. Masę tą jeszcze dokładnie utrzeć na misce, wbić trzy lub cztery żółtka, wcisnąć sok z cytryny, otartą z niej skórkę, jeżeli jest w domu, kieliszek węgierskiego wina lub madery, gdyby masa była za twarda, wlać szklaną wodę. Popróbować, czy dosyć słone i korzenne, na koniec dodać pianę ubitą z czterech białek.

Formę do budyniów lub rondel ze szczelną pokrywą, włożyć cienkimi plastrami słoniny, włożyć pasztetową masę, zamknąć pokrywą, o ile to rondel i pokrywa nie przykręca się szczelnie, jak w formie, przycisnąć ciężarkiem, wstawić w większy rondel z gotującą się wodą, która powinna dochodzić do połowy wysokości formy i gotować, od chwili zagotowania, dwie godziny.

Pasztet jeszcze ciepły, lecz nie zupełnie gorący, wyrzuca się na półmisek, wynosi na chłód, po zupełnym zastygnięciu owija pergaminem, aby nie wysychał i nie tracił smaku.

Pani Elżbieta.

Korespondencje działu praktycznego

Pani K. G.

Nadesłany do Stacji Ochrony Roślin T. O. W. listek asparagus'a jest opanowany przez tarczki—owady ssące, ciało których pokryte jest grubym nalotem woskowym w postaci tarczki. Zraszanie roślin ostremi środkami chemicznymi niszczy tarczki, w danym jednak wypadku środków tych stosować nie można, asparagus bowiem jest zbyt delikatną rośliną. Wobec powyższego należy stosować:

1. delikatne zmywanie szkodnika,
2. usuwanie liści silnie bardzo porażonych przez tarczki,
3. możliwie dobre pielęgnowanie rośliny, aby była silną i odporną na szkodniki.

*Dr Wł. Gorjaczowski.
Kier. St. Ochr. Rośl.*

Prenumeratorce.

Stół do kuchni „Idéal“, o którym mowa była w „Bluszczu“, widziałam w Krakowie—przypuszczam, że w Warszawie dostać można u Bruna, Bielańska róg placu Teatralnego—lub w każdym większym składzie mebli kuchennych, lub zamówić ostatecznie według własnych wskazówek.

Pani M. G. w Kielcach.

Wszelkie włóczkowe okrycia są ciągle bardzo noszone. Przed poszyciem kratki trzeba zeszyć żakiet tak, aby kratka w kratkę pasowała. Wełny potrzeba na całość $\frac{3}{4}$ kilo—czyli 15 kłębków zephyru. Kolor lila ładnie byłoby pomieszać z kolorem champagne—złotym lub popielato srebrnym. Wełny dostanie Sz. Pani w Warszawie w firmie St. Wegenko Krucza 24. Na żądanie wysłać za zaliczeniem pocztowym.

Pani Kw. w Radomiu.

W Nr. 41 „Bluszczu“ „Kłopoty jesiennie“ znajdzie Sz. Pani wyczerpujący sposób odświeżania mebli i podłóg. Lakier zawsze taniej wypadnie kupić jak samej przyrządzić, gdyż bezwzględnie kupnego mniej wyjdzie. Co do podłogi trzeba doskonale ją zmyć—zeskrobać starą farbę—bo inaczej nowa nigdy dobrze nie przystanie—pokitować szpary, zupełnie suchą pociągnąć pokostem, a jak wyschnie malować równo cienko rozciągając farbę—czynność tę powtórzyć, gdy pierwsza farba wyschnie. Farbę w dowolnym kolorze taniej wypadnie kupić gotową. Zwłaszcza jeżeli pokój nie duży. Skoro dobre gruntu wyschnie, trzeba pociągnąć lakierem, który przyrządzić można w domu w następujący sposób: 10 deka brunatnego szelaku, kawałek wielkości orzecha włoskiego zwyčajnego białego mydła—łyżkę boraksu sproszkowanego i dla koloru trochę farby brązowej w proszku „Ugru“ rozgotować w $1\frac{1}{4}$ litrze wody. Gdy zaprawa wystygnie nacierać równo kawałkiem flaneli, podłogę—pogruntowaną. Ten lakier jest trwały—prędko schnie. Łatwy do zrobienia i nie kosztowny—odpowiedni na zwyczajną podłogę z miękkiego drzewa.

Kurs ogrodnicy.

Posiadacze małych ogródków przy willach i letniskach, albo w powstających coraz liczniej miastach—ogrodach, jak również ziemian,

którzy zechcieliby rozszerzyć zasób swoich wiadomości ogrodniczych, zainteresuje zapowiedź, że Koło Miłośników Ogrodnictwa rozpoczyna w połowie listopada b. r. dwumiesięczny kurs ogrodnictwa.

Cały kurs będzie podzielony na 4 cykle, z których każdy stanowi zamkniętą całość. Dzięki temu osoby, którym sprawia trudność pozostawanie przez czas dłuższy w Warszawie, albo które interesują się tylko pewnymi tematami, będą mogły zapisywać się na poszczególne cykle.

Cykl 1) obejmuje wiadomości wstępne, a więc gospodarke ogrodną (organizację gospodarstwa, warunki opłacalności, rachunkowość i t. p.), oraz wiadomości o glebie i metody stosowania nawozów w ogrodnictwie. Pozostałe 3 cykle są poświęcone działom zawodowym w zastosowaniu do potrzeb miłośników i ziemian.

Szczegółowych informacji udziela i zapisy przyjmuje inspektorka kursu, p. M. Chmurkowska, Polna 32, tel. 55-88.

Opis sukien i robót do Nr. 45

863 Suknia z brązowego sukna. Pasek ze złotej skóry. Palto z brązowego aksamitu, przybrane haftem i futrem.

864. Paltocik dla dziewczynki od lat 7 do 13 z granatowej wełny, przybrany karakulami.

865. Paltocik dla dziewczynki od lat 4 do 6 z piaskowego sukienka z kołnierzem fokowym.

866. Kostjum z granatowej wełny, przybrany szenszylami.

867. Paltocik z popielatego zamzu dla dziewczynki od lat 4 do 6.

868. Paltocik dla chłopczyka od lat 5 do 8 z piaskowego sukna, przybrany fokami.

869. Kostjum dla dwunastoletniej dziewczynki z brązowej wełny, przybrany futrem.

870. Stroja sukienka z różowego crêpe de chîne'u dla dziewczynki od lat 7 do 10.

871. Suknia z rezedowej charmeuse, przybrana haftem i strusiem piórami.

872. Bluza dla dziewczynki od lat 7 do 9 z lekkiej wełny, przybrana plisami.

873. Sukienka aksamitna dla dziewczynki od lat 4 do 6.

874. Sukienka w kratę dla dziewczynki od lat 5 do 7.

875. Szlafrok z flaneli deseniowej z gładkim kołnierzem.

876. Szlafrok z wełny w kratę, wykończony sukienkiem w odpowiednim kolorze.

877. Szlafrok z sukna koloru szaro-lila, wykończony świecącym jedwabiem.

878. Wzór na śliniaczek. Haft angielski. Wielkość naturalna.

879. 880. Motyw i szlaczek do wyszycia na sukni haftem płaskim i paciorkami.

881. Szlak do wyszycia na sukni paciorkami.